Nr. 22. Warszawa, dnia 20 Maja (2 Czerwca) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Wybory w Belgii.

Ubiegłą niedzielę, 27 z. m., odbyły się w całej Belgii wybory do obu Izb prawodawczych. Po zeszłorocznych obstrukcyach, bójkach sejmowych, walkach ulicznych, z rozlewem krwi połączonych — po całej tej piekielnej symfonii, jaką z rzadkim artyzmem wykonywały namiętności polityczne podczas gdy rozum stanu zasępiony mozolił się nad nową zmianą w tak niedawno uchwalonem prawie wyborczem — w tym roku stronnictwa od początku niepodległości walczące z sobą, nie mogły się oddać politycznemu ascetyzmowi: zawrzały znowu, zakipiały żądzą, nadzieją, zawiścią i gniewem. Po raz pierwszy miał Naród Belgijski wybierać według nowego, w przeszłym roku uchwalonego i do konstytucyi wprowadzonego porządku: nowość musiała jeszcze rozdmuchać płomienie. Małe kraje, z licznemi przeciwieństwami, a stąd i z silnie tętniącem życiem, są laboratoryami politycznemi: wyrabiają nowe instytucye dla Ludzkości politycznej. Takiem laboratoryum była Belgia w r. 1893, gdy poprawiała sobie konstytucyę z r. 1831; okazała się niem również i w roku zeszłym, gdy do zmienionej przed sześciu laty nowe wprowadzała zmiany.

W nowem konstytucyjnem prawie wyborczem i przedstawienniczem z r. 1893 — wprowadzono nieznaną przedtem w Europie *wielokrotność głosów*, wytwarzającą trzy różne stopnie obywateli: o jednym głosie, o dwóch głosach i o trzech. Podstawą systemu jest głosowanie powszechne, powołujące pełnoletnich, z pełnoletnością wszakże poczynającą się dopiero w 25 roku życia; każdy Belgijczyk w tym wieku ma głos jeden i jest obywatelem pierwszego stopnia. Przybywający drugi głos podnosi takiego obywatela o stopień. Do drugiego głosu mają prawo: każdy ojciec rodziny, każdy właściciel z książeczką oszczędności na 2,000 fr., wreszcie każdy wyżej wykształcony. Kto łączy w sobie dwie z powyższych kwalifikacyj, ten otrzymuje jeszcze głos trzeci; więcej nad trzy nikt posiadać nie może. Widoczny jest kierunek zachowawczy całej tej trójstopniowości, najniższego, wyższego i najwyższego obywatelstwa, i pojąć też łatwo, dlaczego w r. 1892 i 1893 socyaliści i postępowcy radykalni zwalczali namiętnie ten podział. Ówczesny twórca pomysłu, Nyssens, obliczył, że kraj, mający trochę więcej, niż 6 milionów ludności, przy wyborach składać będzie 1,900,000 głosów: podstawowych prostych 1,200,000 i wykwalifikowanych wyższych, 700,000. Rzeczywistość niedaleko odbiegła od teoryi.

Po trzech latach obowiązywania nowego porządku liberalni, postępowi i socyaliści zaczęli domagać się *proporcyonalności* wyborów, tj. uprawnienia mniejszości, przytłaczanej przez większość. Klerykalni pochwycili ich pomysł, ale tylko na to, aby ich własną ich maczugą powalić: wprowadzili proporcyonalność na wsiach, któremi władają, odmówili jej wielkim miastom, w których, z wyjątkiem Gandawy, przewagę mają dążności spokojnie i burzliwie postępowe. Wywiązała się walka, zarumieniły się krwią kamienie Brukselli. Wyznaczono komisyę pojednawczą, która rozkopała jeszcze większy rów, aż wreszcie król musiał odprawić zagorzałego Vandenpeerebooma i powołać chłodniejszego, ale ciągle jeszcze klerykalnego, Smet de Naeyer'a, stojącego jeszcze u władzy. Za niego dopiero stanęło prawo nie wyłącznie tylko na obronę katolików, a raczej politycznych interesów katolicyzmu w Belgii, i na mocy tego to właśnie prawa, jako noweli do konstytucyi z r. 1893 — dokonały się wybory niedzielne. Ożywienie ich niezwykłe prócz przeciwstawności ideałów i interesów spowodowała współczesność funkcyj, odnawiających obie Izby sejmowe w całkowitym ich składzie. Izba przedstawicieli liczy 152, senat 102 członków. Przypomnieć trzeba, że senatorów w Belgii wydziela z siebie, tak samo jak posłów, sam naród; król jest tu martwym. Siedemdziesięciu sześciu członków senatu wybiera powszechność obywateli z pomiędzy najwyżej opodatkowanych; dwudziestu sześciu — sejmy prowincyonalne z powszechności obywateli bez względu na opodatkowanie.

Dotychczas o wyborach niedzielnych wiemy trzy rzeczy: 1) że stronnictwa nie pobiły się fizycznie tak, aby też fizyczne po ich bojach, starciach i bójkach pozostały ślady; 2) że nadzieje stronnictw walczących zasadniczo z katolicyzmem politycznym nie doznały zawodu, jakkolwiek nie usłuchały obliczeń dokonywanych przez przewódzców i urzeczywistniły się w liczbach mniejszych od przepowiadanych; 3) że demokraci chrześciańscy, którym sami ich przeciwnicy wróżyli większe powodzenie, nadspodziewanie mało zarobili-

4) że również nadspodziewanie przewaga zysku, odpowiadającego stratom katolików, padła nietylko na stronnictwa liberalne i postępowe, a więc środkowe, ale i na skrajne socyalistyczne.

W Izbie dotychczasowej było 112 katolików, 12 postępowych i liberalnych i 28 socyalistów; w nowej będzie 85 katolików, 33 radykalnych, postępowych i liberalnych, 33 socyalistów i jeden demokrata chrześciański. Oczywiście, może się jeszcze zmienić jedna, druga pozycya, ale już nie o wiele. Uderza fakt, że sam twórca socyalizmu chrześciańskiego, Daens, ksiądz, człowiek bardzo zdolny, a czysty, legł pod nawałą nieprzyjaciół — i nie wszedł do Izby. W senacie katolicy będą mieli przewagę bezwarunkową. Do d. 29 z. m. na 50 katolików było 26 liberalnych.

Tydzień polityczny. W Transwalu początek końca. D. 27 z. m. wojska Robertsa przekroczyły Wał; nazajutrz French walczył już tylko o 10 mil od Johannesburga z nielicznym i szybko też przepartym oddziałem Boerów. Zdaje się, że tego samego dnia już wkroczył do wielkiego miasta angielskiego: telegram londyński nosi datę 29 z. m. Roberts stał wtedy z całą swą armią na północnym brzegu rzeki. Bliskość Pretoryi, raczej zamierzone niż urzeczywistnione jej obwarowanie, wydanie Walu bez oporu, zasługującego na tę nazwę — pozwalają domniemywać się w tej chwili już wzięcia stolicy boerskiej. I pozycye i dusze upadają. Zarządzono głosowanie w obywatelstwie i w wojsku — co prawie na jedno wychodzi: czy walczyć, czy uledz? Gdy sam wódz naczelny, Botha, jest za poddaniem się i gdy niezawodnie ma naśladowców wśród najprzedniejszych w braterstwie broni — zeschła gałązka oliwna większą będzie miała ponętę od miecza. Początek końca. Z Salisburego wyszedł znowu krasomówczy grzmot: zniesienie niepodległości, a nawet wszczepienie wierności dla królowej. Wszystko mija, tylko smutek nad człowiekiem nie ustaje — głęboka dziejowa żałość, urągająca całej mądrości historyi i ciążącemu na niej obowiązkowi spokoju.

Dreyfus *redivivus!* Zjawił się w Izbie deput. d. 23 z. m., wtargnął do senatu, powrócił do Izby, wstrząsnął gabinetem, wypiera z niego Galliffeta. Jest to nowy spisek monarchistów i neobulanżystów na rzeczpospolitą. Niejaki Frisch, ostatni ze słynnego drugiego biura sztabu generalnego, najął się do ciemnych robót: wykradł dokumenty i wydał spiskowym. Nadto komisarz wojskowo-policyjny, Tomps, zawiązał jakieś stosunki, niby uczciwe ale w istocie podejrzane. Gallifet potępił knowania, urzędnika nazwał „zbrodniarzem," a zaprzeczywszy zrazu wykradzenia dokumentów, zaprzeczenie to d. 26 z. m. odwołać musiał, z ujmą dla swego ministrowania i dla powagi rządu. Obowiązek wyciągnął na trybunę i Waldeck-Rousseau a. D. 28 z. m. ponownie w Izbie dep. opędzał się rząd obsaczającej go zgrai, którą wiedli Humbert i Castellane. Gallifet wyszedł podczas rozpraw. Spiskowi zrobili sobie z jego nazwiska podkład pod śpiew, pulpitom zostawiając muzykę. Oklaski lewicy dla Waldeck-Rousseau rozsrożyły ich tak, że Deschanel musiał posiedzenie zawiesić. Po otwarciu go nanowo Bourgeois przemówił rozsądnie i dobrze i zaproponował wyrażenie pochwały dla rządu a zaufania do armii. Po długich korowodach propozycyę przyjęto. Większość za rzeczpospolitą jeszcze była dość silną; ale nie można tego powiedzieć o samym rządzie rzeczypospolitej. Bourgeois wschodzi ponownie na widnokrąg.

Sejm niemiecki d. 26 z. m. zaświętował; zbierze się napowrót 6 czerwca. Najważniejszą po sprawie pomnożenia floty była sprawa rozszerzenia ubezpieczeń na wypadek kalectwa i śmierci po za dotychczasowy obręb przemysłu: do rolnictwa, leśnictwa i żeglugi. Uchwalono przytem nowe, lepsze od dawniejszych, porządki wykonawcze.

Zamiast nieprzyzwoitej „lex Heinze" w obronie przyzwoitości mają Niemcy „lex Hompesch" o wiele skromniejszą: prawo to, uchwalone znienacka, karze tylko psucie małoletnich książkami i obrazami wyuzdanej zmysłowości; nie zagraża twórczości poetów i plastyków.

W Norwegii zerwanie z królem szwedzkim. Zastępujący króla następca tronu odmówił podpisu uchwale sejmu, nakładającej podatek, z któregoby można było utrzymywać samoistnych konsulów. Ministeryum Steena oświadczyło, iż pozostaje na stanowisku w obronie praw sejmu. Członkowie norwescy wspólnego wydziału w Sztokholmie rzucili swe urzędy. Gra niebezpieczniejsza dla tronu, niż dla sejmu. Unia z r. 1814 jest już tylko cienką niteczką.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Listy o Galicyi.

II.

Kraków, 27 maja.

Bilans ostatniej sesyi sejmowej. — Pracowite próżniactwo. — Wniosek Potoczka. — Wniosek Dunajewskiego i Sanguszki. — Dość już zrobiono dla szkolnictwa. — Wniosek Romanowicza. — Emigracya i bezrobocie chłopskie.

Echa ostatniej sesyi sejmowej przebrzmiały już zupełnie. Ogólne zainteresowanie kraju skupia się na Lwowie tylko przez krótki czas trwania obrad sejmowych i to w dość słabym stopniu. Przez resztę roku, tj. przez większą jego część, ginie zupełnie zainteresowanie się stolicą kraju, za to oczy wszystkich zwracają się z wielkiem zajęciem ku Wiedniowi. Sejm nie pozostawia żadnych wspomnień i gdy tylko się odroczy, nikt już nie myśli o sprawach krajowych i prasa przestaje o nich pisać.

Przyczyn tego słabego interesu, jaki w ludności budzi sejm krajowy, dotknąłem już w poprzednim liście. Mianowicie brak wszelkiej inicyatywy w reformach podkopał zupełnie znaczenie sejmu w kraju. Dziś niema chyba w Galicyi tak naiwnego człowieka, którywy się spodziewał ze Lwowa jakiejkolwiek poprawy naszych stosunków społecznych. Każda reforma drobna czy wielkiego znaczenia, wychodzi z Wiednia. Sejm lwowski niby pracuje. Pochwalił tę jego „pracowitość" nawet cesarz przed tygodniem na *cercle* delegacyjnem w Budapeszcie. W najlepszym jednak razie jest to „pracowite próżniactwo." Przez większą część sesyi posiedzenia zaczynały się dopiero o godz. 12, zamiast o 10, a kończyły się już o godz. 2 ej. Komisye zbierały się na kilkominutowe posiedzenia, na których uchwalano wszystko ryczałtowo. Reprezentanci ludu starali się jak najmniej trudzić...

To też w ostatniej sesyi nie załatwił sejm ani jednej z ważniejszych spraw zasadniczych, które były na porządku dziennym.

Wnioski: Hupki — o niepodzielności gruntów włościańskich, Potoczka — o wło-

---

W ojczyźnie Boerów.

III.

Kolej żelazna, wychodząca z Kapsztatu w odległości 500 mil angielskich przy De Aar Junction, rozwidla się w dwie przeciwległe strony. Pójdziemy naprzód na zachód — i tam w oddaleniu nowych 150 mil napotykamy pierwsze środowisko ludzkie po Kapsztadzie — Kimberley. Nędzna wioszczyna gwałtownie wzrosła po r. 1870, kiedy to po raz pierwszy odnaleziono tutaj dyamenty. Przemysł rozwijał się atoli nieprawidłowo: produkcya niezorganizowana, rozrzucona pomiędzy nadbiegłe rzesze wiatrem zewsząd spędzonych awanturników i krajowców, wogóle w dużej ilości ludzi, nie zdających sobie bynajmniej sprawy z „istotnej" wartości kamieni — upadać zaczęła. Dopiero sprytu dyabelskiego Cecil Rhodes'a trzeba było, aby ją nanowo na nogi postawić. Dokonał on mianowicie zześrodkowania kopalni w jednych rękach spółki akcyjnej „De Beers Consolidated Mining Company" (1885). Od tego czasu wydobywanie dyamentów dokonywa się według pewnego planu, ilość bywa z góry określana, taka mianowicie, którą zapotrzebować mogą rynki Europy i Ameryki Północnej. Ceny dają się skutkiem tego osiągać możliwe. Fizyognomia miasta z chwilą zześrodkowania produkcyi uległa zasadniczej zmianie. Zamiast licznej bezrządnej kohorty awanturników — dziś Kimberley posiada doskonale zorganizowaną administracyę spółki, niewielu stosunkowo tylko liczącą urzędników; dawne budy kramarskie i szynki pozapadały się, miasto poniekąd wyludniło się. Dla Europejczyków, zajętych w kopalniach, stworzył Cecil Rhodes osobne przedmieście Kenilworth, gdzie śród australijskich drzew gumowych wybudował długie szeregi domków na modłę europejskich wznoszonych. Najcięższe atoli roboty znajdują się w rękach Kafrów. Wydobywanie dyamentów połączone jest z wielu trudnościami. Ogółem za przeciąg 25 lat sprzedano dyamentów za cenę 120 milionów rubli.

Murzyni pracują pod surowym dozorem, w miejscowości zamkniętej, ściśle strzeżonej; wzdłuż muru okalającego kopalnię ciągną się ich domki, zamieszkałe przez 2,500 murzynów, pochodzących z przeróżnych plemion rozrzuconych od Natalu na południe aż do jeziora Tanganijka na północy. Nęcą ich z tak dalekich stron wysokie płace wynoszące od 9—15 rubli tygodniowo. Ażeby ich zachęcić do uczciwości, zarząd kopalni ofiaruje im 10% wartości znalezionego i dobrowolnie zameldowanego dozorcy kamienia tytułem wynagrodzenia. Pewien misyonarz angielski opowiada, że jednego razu jakiś Basuto nawrócił się pod wpływem następującego zdarzenia. Znalazł był dużej wielkości dyament i zajęty był właśnie rozłupywaniem „skorupy," gdy zobaczył zbliżającego się dozorcę. Zdjął go paniczny strach, kary bowiem za kradzież są nader ciężkie. Tymczasem dozorca przeszedł i nie zatrzymał się wcale. „Wtedy właśnie poznałem Boga, gdyż on mnie uratował." Kiedy czarny dorobi się sumy pieniędzy, jaką zdobyć pragnął, co mu się w szybkim czasie dokonać udaje, zabiera swoje „suwereny angielskie" — moneta najbardziej walor mająca pomiędzy murzynami — i wraca do domu. Za suwereny nabywa woły, a za woły kupuje sobie żonę — i pędzi resztę dni swoich w szczęściu, tj. w lenistwie.

W Mafekingu kończyła się kolej i trzeba było cofnąć się o kilka stuleci wstecz — do woza i wołów boerskich. I znowu czas

ściach rentowych, Dunajewskiego i Sanguszki — o gminie zbiorowej i reformie administracyjnej, Romanowicza — o reformie wyborczej — nie zostały załatwione.

Tak długo ustanawiano myta i rogatki lub motywowano pozbawione wszelkiego praktycznego znaczenia, platoniczne rezolucye, zaczynające się od słów: „Wzywa się c. k. rząd, aby wniósł w parlamencie projekt takiej a takiej ustawy lub zbadał tę a tę sprawę,“ rezolucye wędrujące z zasady do koszów w ministeryach wiedeńskich — aż nadszedł koniec sesyi i wtedy w gorączkowym pośpiechu niektóre z wymienionych wyżej spraw „przekazano“ Wydziałowi krajowemu do zbadania, bez żadnych wskazówek, inne zaś, jak np. reforma wyborcza, „spadły“ z porządku dziennego z powodu zamknięcia sesyi...

Gdyby ktoś chciał ocenić stosunki galicyjskie na podstawie prac sejmu, musiałby dojść do przekonania, że w Galicyi chyba żadne reformy nie są potrzebne. Swoją drogą reformy takie, jakich pragnie szlachecka większość sejmowa, nie wycisną nam łez z oczu dlatego, że zostały pogrzebane. Bez wątpienia, lepiej żadnych reform, niż takie!

O *lex Hupka* pisałem w liście poprzednim Przypatrzmy się innym wnioskom. Wniosek Potoczka o włościach rentowych stanowił poniekąd odpowiednik do *lex Hupka*. O ile „autonomiści“ podolscy zwalczali ten drugi projekt, o tyle forytowali wniosek Potoczka. Organ ich, *Gazeta narodowa*, chwalił go, dodając: „widocznie p. Potoczek dobrych ma doradców.“ Nie ulega kwestyi, że owych „doradców“ szukaćby należało w klubie „autonomistów,“ którzy może na złość krakowskim stańczykom wypracowali Potoczkowi ten wniosek. Potoczek sam bowiem nie posiada na tyle inteligencyi, aby potrafił ułożyć projekt ustawy. Projekt jego zmierzał do stworzenia banku rentowego, któryby kupował grunta, parcelował je, sprzedawał chłopom i udzielał im pożyczek na zagospodarowanie się. Chłopi zaś płaciliby bankowi rentę amortyzacyjną. Jak widzimy, włości rentowe p. Potoczka tylko z nazwy przypominają to, co np. w Niemczech rozumie ustawa przez włości rentowe. Plan zachodnio-europejskiej instytucyi, przefiltrowany przez mózg Galicyanina, przeobraził się tak gruntownie, że go ani poznać nie można. W stosunkach rolnych Galicyi projekt p. Potoczka nic by nie zmienił. Jedynym jego skutkiem byłoby powstanie jeszcze jednego banku w Galicyi. Galicyjskie banki! Mają one dziś już taką stałą markę, jak „galicyjskie wybory.“ Zbankrutowany bank włościański, który tysiące rodzin chłopskich wtrącił w nędzę, powinien jeszcze na długie lata pozostać odstraszającym przykładem. Chłop galicyjski nie ma dziś z czego zapłacić podatków, w jakiż więc sposób podołałby nowemu ciężarowi: rencie amortyzacyjnej? Niema więc czego żałować, że wniosek Potoczka uległ temu samemu losowi, co *lex Hupka*.

O wiele szersze znaczenie posiadał projekt reformy gminnej i administracyjnej, wniesiony imieniem klubu krakowskiego przez b. ministra Dunajewskiego i b. namiestnika ks. Sanguszkę. Wniosek ten składa się z dwóch oddzielnych części. Pierwsza z nich zawiera projekt nowej ustawy gminnej. Obecnie jednostkę administracyjną w Galicyi stanowi gmina obejmująca jedną wieś lub obszar dworski. Projekt tworzy nową jednostkę administracyjną: *gminę zbiorową*, czyli *okręgową*. Wzór wzięty tu z Królestwa Polskiego W skład takiej gminy wchodziłoby kilka obecnych gmin i obszarów dworskich, jedne i drugie na równych prawach. Rada tej gminy okręgowej składałaby się z przedstawicieli gmin i obszarów dworskich i wybierałaby naczelnika gminy. Główną figurą w tej gminie zbiorowej byłby jednakowoż nie naczelnik, lecz zastępca naczelnika i płatny sekretarz gminy w jednej osobie, mianowany przez c. k. starostę. Byłby on najwyższym stałym urzędnikiem gminy zbiorowej, kierownikiem urzędu gminnego, komendantem policyi gminnej, miałby władzę usuwania z urzędu sołtysów, a niezależny od gminy, bo nie przez nią mianowany, popierany przez starostę, byłby samowładnym panem w gminie zbiorowej. Mandataryusz *redivivus!* W ten sposób usiłuje nasza szlachta zniszczyć samorząd gminny, ta sama szlachta, która na każdym kroku, czy trzeba, czy nie trzeba, nie przestaje akcentować swego stanowiska autonomicznego.

Jeżeli mowa o reformie gminnej, to przedewszystkiem należałoby usunąć dziwoląg zwany obszarem dworskim, którego właściciel jest swoim własnym, od nikogo niezależnym przełożonym i z tytułu posiadania większej własności ziemskiej ma w jej obrębie prawo administracyi i jurysdykcyi policyjnej. „Obszar dworski“ jest specyalnością galicyjską, nie istnieje on w żadnej prowincyi austryackiej. Rokrocznie posłowie włościańscy składają w sejmie wniosek o wcielenie obszaru dworskiego do gminy. Zamiast jednakowoż usunąć ten krzywdzący przywilej, większość sejmowa chce przeciwnie wzmocnić ten szczątek średniowieczczyzny i oddać mu na pastwę gminę włościańską za pomocą gminy okręgowej, w której właściciele obszarów dworskich, zasiadający w radzie na równych prawach z przedstawicielami gmin wiejskich, uzyskaliby dominujący wpływ na to ostatnie, dotąd od nich z prawa niezależne. Autonomia gminy zbiorowej byłaby jednak fikcyą, skoro urzędnik tej gminy byłby mianowany przez starostę.

Druga część wniosku Dunajewskiego i Sanguszki — to rezolucya wzywająca rząd, aby przedłożył parlamentowi projekt reformy administracyjnej w tym kierunku, żeby miejsce „dwutorowej“ zajęła jednolita administracya krajowa. Jest to stare marzenie stańczyków, ażeby marszałek krajowy sprawował zarazem urząd namiestnika, a marszałek powiatowy — urząd starosty. W ten sposób cała administracya znalazłaby się niepodzielnie w rękach szlacheckich i jeżeli dziś lud może się nieraz ze skutkiem zwrócić do rządu centralnego ze skargami na nadużycia, to wtedy byłby oddany na łaskę i niełaskę naszych „królewiąt.“

O ile pierwszy wniosek podlega kompetencyi sejmu, o tyle co do drugiego nie zachodzi obawa, aby się kiedykolwiek urzeczywistnił, gdyż tego rodzaju reforma wchodzi w zakres działalności parlamentu, w którym na szczęście szlachta galicyjska nie ma większości.

Jak widzimy, nie przeprowadził sejm żadnych reform rolnych, ani administracyjnych. Na polu kulturalnem i politycznem również nic nie zrobił. Co do *szkolnictwa ludowego* oświadczył on (sprawozdawca ks. Czartoryski), że na tem polu pod względem materyalnym sejm już tyle zrobił, iż pozostaje mu do załatwienia jeszcze tylko pomnożenie liczby godzin nauki religii. A więc dla sejmu nie istnieją te setki gmin bez szkół, te setki szkół bez nauczycieli, te setki nauczycieli bez kwalifikacyi, te setki nauczycieli kwalifikowanych, uciekających co roku z szańców swego zawodu do żandarmeryi, do straży skarbowej itp., aby uniknąć śmierci głodowej. Sejm pozostał ślepym na te fakta i głuchym na słuszne żądanie, jakie mu przedłożyło galicyjskie stowarzyszenie nauczycieli ludowych w broszurze zatytułowanej „Nasze ciernie.“ „Naj bude, jak buwało...“

Jakkolwiek co do fantastycznych reform

---

długi a nużący przygląda się podróżny krajobrazowi stepu i pustyni, spowitej w zupełną ciszę cmentarza. Niebawem znalazł się on w Palapszwje, stolicy Khamy. Jest to największe na północ od Zambezi miasto murzyńskie, liczące około 20 tys. mieszkańców. Powstało niedawno. Khama po powrocie z wygnania, na które skazał go był ojciec z tytułu jego nawrócenia się na wiarę chrześciańską, stanął na czele plemienia Bomangwatów i przeniósł jego siedziby w to miejsce. Khama znajdował się w tym czasie w Anglii, gdzie protestował w urzędzie kolonialnym przeciwko uroszczeniom Towarzystwa brytańsko-afrykańskiego, którego administracya objęła w posiadanie jego ziemie i postanowiła zbudować kolej z Mafekingu do Bulawayo. Chciał on mianowicie uchronić swoich poddanych od „wpływów zbrodniczych napojów wyskokowych, któreby z pewnością zapanowały z chwilą opanowania kraju przez białych.“ Pisał on w liście do komisarza angielskiego: „Mniej boję się Lobenguli, aniżeli wódki. Przeciwko Lobenguli walczyłem i pokonałem go. Nigdy nie sprawił mi bezsennej nocy. Więcej drżę przed napojem białego człowieka, niż przed *asagajem* Matabelów, od których ginie ciało. Zaś człowieka spaja dyabeł i niszczy nietylko ciało, ale i ducha zarazem.“ Liczy ten przedziwnie sympatyczny „kurator trzeźwości“ około 70 lat i jest jednym z najpotężniejszych wogóle Kafrów. Za młodu nawrócony na chrześciaństwo, wytrwał w tej wierze pomimo długiej drogi udręczeń, jakie z tego powodu przejść musiał. Nie chciał żyć w bigamii i za to został banitą. Ale nietylko z tytułu został chrześcianinem: stale wykazuje tyle taktu i rozumu, że mogliby mu zazdrościć Chamberlainowie.

W Bulawayo panuje Cecil Rhodes. Po złamaniu potęgi Lobenguli miasto zakwitło. Przybywają coraz to nowe dzielnice, już czysto angielskie. Żyły złota ciągle odkrywane na nowo ściągają zewsząd kopaczy, awanturników, budzą „święty głód złota,“ wpływają na wzrost sklepów, zajazdów itd. W mieście jest prócz złota inna jeszcze, powszechną budząca ciekawość, kwestya. Chodzi o tubylców. Zdawało się Anglikom, że dzicy, raz pokonani nie powstaną, że poznają się na dobrodziejstwach oręża angielskiego. Tymczasem omylili się. W Maszona panowało wrzenie z powodu uciążliwego podatku „podymnego“ pobieranego od każdej chaty w ilości 5 rubli. Dzicy uważali, że to jest podatek na „pilność i zamożność,“ płaci go ten, „kto pracuje i ma własną osadę, zaś leniwy i próżniacze życie prowadzący czarny — nic nie płaci.“ Nie brakowało też innych źródeł niezadowolenia. „Chartered Company“ rościła pretensye do całej rogacizny Matabelów, powołując się na to, że stanowić ona miała własność Lobenguli. To samo w zakresie własności ziemskiej. Tej nie znali poddani Lobenguli. Anglicy zaś podzielili ją na parcele i rozpoczęli sprzedawać więcej dającemu. O ile przypadkowo na sprzedanej parceli znalazła się wioska murzyńska, proszono mieszkańców z przyspieszającym ruchem o łaskawe przesiedlenie się w inne tymczasem niepotrzebne miejsce. A wreszcie — wielce czcigodny (very reverend) Anglik, który od stu lat walczył z niewolnictwem, zaczął popierać po cichu pracę niewolniczą. Budowle publiczne i kopalnie prywatne wymagają znacznej siły roboczej, zażądano tedy od plemienia Indunów, aby dostawili młodych, silnych robotników. Że zaś ci nie widzieli w tem wielkiego honoru, tedy, jak to stwierdził wbrew zapewnieniom Kompanii Sir Ryszard Martin w raporcie złożonym parlamentowi (1897) zastosowano gwałt i siłą wypędzono do roboty młodych Kafrów z ich „Kralów.“ Powstanie nie dało na siebie cze-

rolnych p. Hupki ujawniły się poważne różnice w łonie „unii konserwatywnej,“ to jednak stanęła ona ławą wobec żądania reform politycznych. Było to żądanie bardzo skromne. P. Romanowicz wniósł imieniem klubu demokratycznego i unii ludowej wniosek o zmianę sejmowej ordynacyi wyborczej, a mianowicie o stworzenie kilku nowych mandatów w kuryach miejskiej i wiejskiej i o wprowadzenie piątej kuryi wyborczej z powszechnem głosowaniem i 20 mandatami na wzór wprowadzonej przez Kazimierza hr. Badeniego piątej kuryi przy wyborach do parlamentu. Motywował on swój wniosek tem, że jest to krzyczącą niesprawiedliwością, aby ci, którzy już mają prawo wyborcze do parlamentu centralnego, nie posiadali prawa wyborczego do reprezentacyi krajowej. W komisyi punkt za punktem odrzuciła większość szlachecka cały wniosek Romanowicza. Ale referenta, którvby tego stanowiska bronił w pełnym sejmie, większość komisyi nie mogła znaleźć. Każdy z tych, którzy w komisyi przeciw wnioskowi Romanowicza głosowali, wymawiał się od referatu; nikt z tych panów nie miał odwagi bronić swego własnego stanowiska w Izbie. W końcu znalazł się taki pan, osławiany i bezczeszczony „neokonserwatysta,“ p. dr. Piotr Górski. Zanim jednak znalazł czas na wygłoszenie swego referatu—sesyę sejmową zamknięto, a reforma wyborcza „spadła z porządku dziennego...“

Posłowie sejmowi rozjechali się do domów. Czy z poczuciem spełnionego obowiązku? Wątpmy. Bo jeżeli mają oczy, to widzą dokoła siebie gorączkę emigracyjną, przybierającą coraz groźniejsze rozmiary. Tysiące chłopów wyjechało tej wiosny do Brazylii, do Kanady, do Niemiec, tysiące jeszcze wciąż wyjeżdżają. A w powiecie Borszczowskim, w dobrach hr. Baworowskiego, ks. Sapieżyny i innych magnatów, płacących swoim robotnikom po 12 ct. dziennie, wybuchło bezrobocie robotników rolnych.

Szlachta galicyjska niczego nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Wie ona, że prędzej czy później reformy przyjść muszą, ale póki tylko można, broni się przed niemi z całej siły. *Après nous le déluge.*

Vivus.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 25 maja.

Masonerya.

Na szpaltach dzienników francuskich, na stronicach pism ulotnych, w ustach mówców na zgromadzeniach publicznych, jednem słowem wszędzie, gdzie znajduje wyraz teraźniejsza namiętna walka społeczno-polityczna, spotykamy bardzo często słowo „masonerya.“ Wolni mularze wprawdzie nie są jedyną, ani nawet najwyższą siłą, wrogą klerykalizmowi i jego sprzymierzeńcom lub formom pochodnym, ale klerykali są przekonani, a przynajmniej usiłują wmówić w publiczność, że wszystko zło, zarówno szkoła świecka, jak ułaskawienie Dreyfusa i odwołanie Marchanda z Faszody, jest dziełem tajnego międzynarodowego sprzysiężenia „farmazonów,“ kierowanego głównie z Anglii. Po pierwszem stawieniu się gabinetu Waldeck-Rousseau przed Izbą deputowanych, dzienniki *Croix*, *Gaulois*, a nawet wolnomyślny *Eclair* opowiadały z poważnemi minami, że od upadku ocalił to ministeryum „zdrajców ojczyzny“ i do poparcia go skłonił radykalistów jedynie „stary łotr“ Brisson, czyniąc w ostatniej chwili masoński gest „na trwogę.“ Juliusz Lemaitre i kierowana przez niego „Liga ojczyzny francuskiej“ prowadzą energiczną kampanię przeciw wolnomularstwu, które przedstawiają jako pewnego rodzaju kościół, czy kongregacyę, domagającą się swobody dla siebie i swych dziwacznych obrzędów, a pęt dla kongregacyj katolickich.

Do jakiego poziomu umysłowości cofają się ci, co słuchają, i ci, co rozpowszechniają dziś we Francyi legendy o masoneryi, mamy dowód w takim Leo Taxil'u, który potrafił wmówić w najwyższych dostojników kościoła wszelkie skomponowane przez siebie bajdy nieistniejącej Dyanie Vaughan, i biskupi, jak niedawno zmarły mgr. Fave, najpoważniej w świecie wydawali kurendy przeciw obcowaniu z dyabłem. Nie mam najmniejszego zamiaru nawracać kogokolwiekbądź na masoneryę, gdyż sam nie jestem masonem. Że jednak te 18—19 tysięcy masonów, którzy należą we Francyi do „Wielkiego Wschodu“ oraz do „Najwyższej rady 33-go stopnia obrządku szkockiego,“ stanowią poważną siłę w życiu publicznem rzeczypospolitej, więc nie od rzeczy będzie rzucić okiem na charakter i tendencyę tej organizacyi.

Trzeba przyznać, że rozpowszechnianym przez księży legendom winna w znacznej części sama masonerya, która w XVIII w. sfabrykowała sobie całą genealogię, sięgającą nietylko Templaryuszów, ale i króla Hirama i misteryów egipskich. Dziś jednak czyż potrzeba zaznaczać, że żaden mason, przynajmniej we Francyi i innych krajach łacińskich, nietylko w te legendy nie wierzy, ale nawet nie przywiązuje wagi do ich alegorycznego znaczenia? Natomiast krytyka historyczna drugiej połowy bieżącego stulecia wykazała, że nowożytna masonerya pochodzi rzeczywiście od korporacyj mularskich wieków średnich i odziedziczyła po nich hierarchię i symbolikę, które przybrały nowe kształty pod wpływem humanitarnej filozofii XVII i XVIII w. Wiadomo, że sztuka budownictwa odgrywała w życiu średniowiecznem ogromną rolę. Miała ona z natury rzeczy trudne i dłuższego czasu wymagające arkana techniczne, których posiadaczami byli nieraz kierujący budową kościołów zakonnicy. Religijny charakter wszelkich cechów musiał tu być jeszcze wzmocniony samym rodzajem pracy, polegającej przeważnie na budowie świątyń. A z drugiej strony ogrom przedsiębranego zadania powodował często zetknięcie się robotników z różnych stron i krajów, co wytwarzało w stopniu większym, niż w korporacyach średniowiecznych innych fachów, zarodki międzynarodowości. Przysięga zaś solidarności, składana w celu obrony interesów zawodowych, stawiała korporacye mularskie w pewnej opozycyi do istniejącego porządku społeczno-państwowego, dążącego wówczas do oznaczenia *maximum* płacy zarobnej. Co więcej, wywoływała ona nawet zakazy koncyliów francuskich i parlamentu angielskiego, zmuszała do pewnej tajemniczości.

Wpływ, wywarty przez wielkie przekształcenie społeczne, zwane Odrodzeniem, i na te uboczne zakątki gmachu średniowieczczyzny, jest dla badacza-socyologa jednym z najciekawszych przykładów zmian nieprzewidzianych, niecelowych, a jednak przystosowawczych, jakie, pod działaniem głębokich przemian podstawy społecznej, zachodzą w nadbudowie społecznej, nie wyłączając wszystkich dziedzin sztuki i obyczaju. Odrodzenie myśli klasycznej było—zdaniem szkoły ekonomicznej w socyologii—objawem walki nowych stosunków ekonomicznych i nowego ugrupowania klas z filozofią scholastyczną, która,

kać i krew Europejczyków obficie zrosiła trawę stepową.

Upały południowo-afrykańskie zdwajają niechęć powszechną do pracy. Europejczyk tedy domaga się, aby ciężką, brudną pracę w kopalniach w jego zastępstwie spełniał dziki. Natomiast ofiaruje mu trochę monety i łachmany skrojone na modłę angielską. Dziki nic nie rozumie: moneta mu na nic, „karros“ (płaszcz ze skór uszyty) i trochę kukurydzy i zboża, które sieje i zbiera — wystarczają mu aż nadto do szczęścia doczesnego. Oczywiście w oczach Europejczyka jest „bydlęciem“; domagają się tedy argonauci specyalnych praw, nakazujących przymusową pracę murzynom, dla których przecież „praca byłaby największem dobrodziejstwem.“ Że zaś jest dobrodziejstwem, rzeczą moralną, tedy wszystkich dróg należy użyć, aby negra do taczki zaprządz. Proponują tedy ułożenie skali wynagrodzenia, oczywiście tak wielkiego, aby nie zapomniano i o korzyściach przedsiębiorcy; bardziej zaś opornych przynagli do pracy — batożek.

Bryce na podstawie osobistych spostrzeżeń i doświadczeń przychodzi do przekonania, że postępowanie władz angielskich i ludności napływowej, musi się zasadniczo zmienić, jeżeli istotnie próby krwawego oporu nie mają się powtórzyć. Właściwem zadaniem administracyi angielskiej powinno być: 1) wychowywanie tubylców, przyzwyczajanie ich do stałej, ciągłej pracy; 2) nakładanie pewnych hamulców na przybyszów awanturniczych, którzy tu na granicy wszelkiej cywilizacyi, nie czując wkoło siebie żadnej kontroli społecznej, pastwią się, jak złe hyeny, nad czarnym człowiekiem. Mowy być nie może o jakimkolwiekbądź przymusie do pracy, jedyna droga do zdobycia robotnika, to — dobra płaca, szlachetne obcowanie z nim, miłosierna opieka. Bryce przepowiada znaczną przyszłość tym krajom i niezależnie od rozwoju kopalń złota — którego dziś jeszcze przewidzieć nie można — przepowiada rozkwit innych gałęzi przemysłu. Polityczna przyszłość kraju zależeć będzie od wzrostu ludności. Jeżeli napłyną liczne rzesze białych, to kwestya samorządu stanie się aktualną. Przybysze oczywiście nie zadowolą się stanowiskiem takiem, jakie wyznaczono ziemiom Beczuanów i nie dadzą się przyłączyć do kolonii Kapu. Tymczasem (od r. 1898) zarząd kraju stanowią: *administrator* mianowany przez kompanię po porozumieniu się z urzędem dla spraw kolonialnych; *rezydent*, wyznaczony przez ministra kolonij i od niego wyłącznie zależny; *rada wykonawcza*, złożona z czterech osób, mianowanych przez Towarzystwo, administratora i rezydenta, oraz *rada prawodawcza*, do której pięciu członków mianuje Towarzystwo, a czterech obierają wyborcy, tj. ludność zamieszkująca kraj Matabelów i Maszony. Policya w ilości 1,200 osób zależną jest od władzy komisarza naczelnego. Ziemie powyżej Zambezi podzielono na Rodezyę północno-wschodnią i północno-zachodnią. „Anglia może być istotnie dumną z opanowania tych krain. Pod względem klimatycznym jest to część Afryki południowej najlepsza. Zarówno rolnictwo, jak i hodowla bydła może tu kwitnąć o wiele lepiej, aniżeli w Transwalu, Kaplandzie, koloniach niemieckich i portugalskich. Portugalska sfera posiadania zięje febrą, niemiecka—jest często bezpłodną i malaryczną. Nie ulega żadnej wątpliwości, że silny, odważny człowiek, który bez pomocy swojego rządu założył Towarzystwo południowo-afrykańskie i wyrąbał nową drogę dla kolonizatorów angielskich, uczynił jeden z najbardziej ważnych kroków, na jaki kiedykolwiek zdobył się mąż stanu albo zdobywca Afryki.“

uświęcając ustrój feodalny, krępowała ich rozwój. Jednym zaś z objawów zwycięztwa myśli klasycznej było zarzucenie architektury gotyckiej. To właśnie uboczne następstwo rozpoczynającego historyę nowożytną przewrotu ekonomicznego, odbijające się na wolnomularstwie, miało w dalszym ciągu być przyczyną wytworzenia się siły filozoficzno-politycznej, popychającej ów przewrót naprzód aż do dni naszych. Życie umysłowe lóż masońskich i ich organizacya przystosowane były do symboliki gotyku, która w XVII w. straciła do reszty wszelką racyę bytu. Cała filozofia klasyczna stała się podstawą nowej estetyki architektonicznej; loże angielskie musiały zastosować się do tego, i one też dały początek nowej masoneryi. Złeformowały się mianowicie na wzór włoskich akademij budowlanych, a opierając się na średniowiecznym obyczaju cechowym zapraszania wielkich panów z poza fachu na protektorów, otworzyły szeroko swe wrota członkom klas oświeconych, przedewszystkiem zaś — magnatom-humanistom. To uczyniło je ogniskami ruchu umysłowego, miejscem spotkania się dwóch jego prądów: umiarkowanego racyonalizmu mieszczaństwa angielskiego z jednej, a mistycyzmu przyrodoznawczego, magii i teozofii z drugiej strony. Racyonalizm ów odrzucał dogmaty i objawienia, lecz zatrzymywał się na deizmie, jak najmniej hołdował negacyi, mając, przeciwnie, charakter *budujący*, dzięki czemu z łatwością przyswoił sobie symbolikę budowlaną, zamieniwszy ją na doktrynę z Wielkim Budowniczym u podstawy. Prąd drugi był wyrazem niecierpliwego dążenia niedość jeszcze uzbrojonej w narzędzia myśli ludzkiej do wszechwładnego panowania nad siłami natury. Poprzedził on właściwy rozkwit nauk przyrodniczych i związanej z niemi techniki przemysłowej, a przeszedł do wolnomularzy angielskich od masoneryi kraju, znacznie niższego pod względem technicznym, mianowicie — Niemiec. Pierwszy z tych dwóch żywiołów przeważał z początku, gdy w r. 1717 utworzyła się pierwsza „Wielka loża,“ metropolia wszystkich późniejszych w Londynie; kierunek ten zaakcentował się jeszcze z chwilą przeniesienia masoneryi na grunt francuski, czego najlepszym dowodem jest fakt, że król w r. 1737 wydał edykt, a papież Klemens XII-ty w 1738 — bullę, zakazującą masoneryi, gdy tylko ta, zacząwszy przyjmować mieszczan, przestała być zabawką arystokracyi. Ale tymczasem już niejaki Ramsay, chcąc zużytkować spiskowanie masońsko-arystokratyczne dla sprawy Stuartów, tworzył legendę, wiążącą wolnomularstwo z wyprawami krzyżowemi, zakładał „kapituły“ wyższych stopni mistycznych, rozdawał arystokratom i chciwszym jeszcze tego mieszczanom szumne tytuły „kawalerów“ i „cesarzy wschodnich i zachodnich,“ „ark królewskich“ itp., powstrzymywał masoneryę w jej rozwoju racyonalistyczno-demokratycznym. Wolnomularstwo angielskie nie było już w stanie reagować silniej na wypaczania jego zadań, ponieważ zawładnęła niem plutokracya, ponieważ zresztą wogóle, jak wiadomo, mieszczaństwo angielskie po rewolucyach XVII w. oddalało się coraz bardziej od konsekwencyj swych własnych założeń. Konsekwencye te wyprowadzało dalej w XVIII w. mieszczaństwo francuskie i tu też stoczyła się walka między innowacyami „szkockiemi“ a „starym obrządkiem angielskim.“ Walka ta, w której książę Chartres, późniejszy Filip Egalité, obrany wielkim mistrzem, stanął po stronie kierunku bardziej demokratycznego a mniej mistycznego, skończyła się w r. 1771 kompromisem. Obydwa kierunki zostały uprawnione. Z jednej strony arystokraci „wyższych stopni“ tworzyli coraz to nowe sekty: „martynistów,“ „różo-krzyżowców,“ „heredomistów,“ dopatrując się swych początków w coraz bardziej zamierzchłej przeszłości, i szli na lep szarlatanów, jak Cagliostro; z drugiej strony — związek „Wielkiego Wschodu“ posuwał coraz szybciej przewrót w umysłach, licząc w swych łożach całą młodzież szlachecką, przejętą ideami XVIII w., i takich późniejszych działaczów, jak Lafayette, Helwecyusz, Condorcet, Kamil Desmoulins, Hébert, Babeuf. W r. 1789 było we Francyi i koloniach 689 lóż, których większość cieszyła się z upadku Bastylii i widziała wyraz swych przekonań w deklaracyi praw człowieka i obywatela.

Rewolucya francuska jednak o wiele przekroczyła ogólny poziom ideałów i dążeń ówczesnego wolnomularstwa, czem się też — obok ogólnej niechęci rewolucyonistów-jakobinów do wszelkich stowarzyszeń, stanowić rzekomo mogących państwo w państwie — tłomaczy niechęć jej i podejrzliwość względem lóż. Po rewolucyi masonerya, łącznie z całem ex-rewolucyjnem mieszczaństwem, uległa naturalnemu procesowi cofania się i „napoleonizacyi,“ jeśli się tak wyrazić wolno. Jeśli cesarz nie prześladował wolnomularstwa, to tylko dlatego, że wolał je upaństwowić, jak to np. zrobił również z prasą. Kazał się pogodzić walczącym znowu frakcyom i wybrać na wielkiego mistrza — brata swego Józefa, a na pomocników jego—arcykanclerza Cambacérèsa i marszałka Murata, którym ufał w zupełności. Odtąd istnieje zawsze w łonie masoneryi francuskiej pewna dążność do tego, aby być w łaskach u każdego rządu, jakikolwiek on jest. Nawet za Restauracyi, choć wielce im nieprzychylnej, masoni (prawda, że „obrządku szkockiego“) kokietowali ministra policyi, Decazes'a, wybierając go na „wielkiego komandora rady najwyższej“; za drugiego cesarstwa książęta krwi (Murat) i marszałkowie byli „wielkimi mistrzami Wielkiego Wschodu“; za trzeciej rzeczypospolitej wreszcie masonerya zasługuje niezaprzeczenie w dość znacznym stopniu na stawiany jej przez przeciwników zarzut, że, licząc w swych szeregach prezydentów rzeczypospolitej i ministrów, jest organizacyą wzajemnej pomocy w robieniu karyery, stosuje się jednak zawsze do uprzywilejowanej a przodującej mniejszości. Obok tego masonerya, naogół biorąc, była w ciągu XIX w. bez wątpienia ostrogą demokracyi francuskiej i przodowała jej w przechodzeniu stopniowem faz jej rozwoju. Popierała rewolucye 1830 i 1848 r. W r. 1865 konwent zniósł obowiązkowe wyznanie wiary teistycznej i ogłosił wolność myśli i prasy masońskiej. W r. 1869 zerwano stosunki z masoneryą amerykańską, ponieważ ta nie dążyła do równouprawnienia murzynów. W r. 1878 Crémieux, „najwyższy komandor obrządku szkockiego“ (nawet!) został przy boku Gambetty, też masona, członkiem rządu „Obrony narodowej“ i wydał słynny dekret, nadający prawa obywatelskie Żydom w Algierze. Partya klerykalna już za Restauracyi zrozumiała ten charakter masoneryi i, choć dawniej nieraz księża bywali członkami lóż, zaczęła ją zwalczać z całą bezwzględnością. Za trzeciej rzeczypospolitej masonerya, bez różnicy „obrządku,“ przodowała republikańskiemu mieszczaństwu i ludowi w walce z klerykalizmem o republikańską formę rządu i jej treść świecką, reformatorską i demokratyczną.

Rzeczą jest wysoce charakterystyczną, że w krajach protestanckich masonerya wcale nie posiada tego charakteru. Obliczają, że na całym świecie istnieje 16,000 lóż i 1,800,000 wolnych mularzy wszelkich (kilkudziesięciu) obrządków i tradycyj; ale bajką jest tajemnicza łączność między nimi wszystkimi; przeciwnie, rozpadają się oni na 150 blizko niezależnych od siebie związków i mocno się różnią pod względem dążności i charakteru.

W Niemczech, w Skandynawii mieli oni w swoim czasie poparcie absolutyzmu oświeconego, byli zawsze w zgodzie z ustrojem i religią, a w Niemczech nawet — przykładnymi antysemitami. (Ten rodzaj masonów zjawił się też teraz w Algierze—dla przyczyn lokalnych, wywołujących tam specyalne zwyrodnienie ideowe mieszczaństwa drobnego) W Stanach Zjednoczonych, na które przypada połowa ogólnej liczby masonów, zarówno jak w Anglii, są oni poprostu tylko jedną z mnóstwa sekt chrześciańskich, redukujących chrystyanizm do ogólnikowego humanitaryzmu i wodnistej etyki. Natomiast w krajach europejskich, gdzie protestantyzm się nie przyjął, masonerya odgrywa jego rolę dziejową, z tą różnicą, że znajduje się stale prawie w położeniu opozycyi i posuwa się w niej coraz dalej w miarę rozwoju warunków filozoficznych i politycznych. We Włoszech była ona zawsze antypapieską i narodową. W Hiszpanii ma nawet swych męczenników, i to nietylko w w. XVIII, gdy wskutek zdrady mnicha-prowokatora Torrubii, poprzednio zwolnionego z przysięgi przez papieża Benedykta XIV, inkwizycya spaliła tysiące masonów, ale jeszcze w r. 1825 (dziewięciu powieszonych), w 1853 (trzynastu skazanych na pięcioletnie więzienie). Najdonioślejszą jednak jest i pozostaje rola masoneryi we Francyi. I tu wprawdzie dziedziczy ona po swej wielobarwnej przeszłości mnóstwo śmiesznych wprost tytułów — „mistrzów,“ „architektów,“ „kawalerów,“ „szkotów,“ „ark,“ „noachitów,“ „książąt róży i krzyża,“ oraz dziwacznych obrządków: i tu panują owe rozciągłe humanitarne hasła, które niegdyś pozwalały nosić trójkąt i kielnię jednocześnie — Ludwikowi XVI, wynalazcy gilotyny, kardynałowi Mestai Ferreti, i — Garibaldiemu. Ale zarazem i przedewszystkiem masonerya francuska jest spadkobierczynią owego wielkiego strumienia myśli nowożytnej, który, towarzysząc rozwojowi i przekształceniom społeczeństwa mieszczańskiego, od humanizmu i reformacyi tworzy się i przelewa przez filozofię oświecenia aż do naszych czasów i bije wciąż o tamy, wznoszone przez uparty feudalizm i żywioły, pochodzące od niego oraz ku niemu zwracające wzrok z utęsknieniem.

Dlatego to historya masoneryi jest także, jak to widzieliśmy w przelocie, jednym z najbogatszych i najciekawszych może zbiorów przykładów *retrospekcyi przewrotowej*. Monografista miałby tu wdzięczną i pożyteczną pracę.

K. Radosławski.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Kasa im. Mianowskiego.

Otrzymaliśmy osiemnaste sprawozdanie z czynności tej instytucyi za rok 1899. Członków rzeczywistych liczyła Kasa 541 (niewiele!), honorowych 140, założycieli 84; posiedzeń odbyto 14. Na miejsce wychodzącego prof. Hoyera wybrano dr. W. Kamockiego. Jak poprzednio, prezesem jest p. Struve, wiceprezesem p. Dobrski (lekarz), sekretarzem p. Kucharzewski (inżenier *). Majątek Kasy zwiększył się

*) Komitet stanowią prócz wymienionych: prof. Chlebowski, red. Chrzanowski (*Ateneum*), red. Godlewski (*Słowo*), prof. Holewiński, dr Z. Kramsztyk, J. W. Domaszewski (radca prokuratoryi), J. Natanson (przyrodnik), Delke (bankier) Biuro Kasy mie- [illegible]

o kilka zapisów: Chmielewskiego (3,000 rb.), Górskiego (½ domu), Jankowskiej (20,000 rb.), Szpechta. Ze sprzedaży 35 dzieł wpłynęło ogółem zaledwie 2,227 rb. 47 kop., przyczem należy zaznaczyć, że takie doskonałe prace, jak Biegańskiego „Logika medycyny“ i „Teorya nauk lekarskich“ dały, niestety, zaledwie 66 rb. 50 k., co stanowczo źle świadczy o interesach umysłowych naszego świata lekarskiego, a natomiast z „Zasad fizyki“ Witkowskiego wpłynęło z górą 500 rb., co znowu dobrze świadczy o ciekawości przyrodoznawczej młodzieży naszej, która tę książkę kupuje przedewszystkiem. Wogóle należy zaznaczyć, że względnie do czasu istnienia (18 lat) i do środków, jakimi Kasa rozporządza — nakłady jej są nieliczne. Natomiast bardzo pokaźnie przedstawia się wykaz zapomóg i pożyczek udzielonych w roku zeszłym na 1) badania i 2) wydawnictwa naukowe. W rubryce badań czytamy o 38 podaniach, z których uwzględniono 25 i wypłacono łącznie z przyznanemi dawniej 10,311 rb. 75 kop. Zapomóg na wydawnictwa naukowe przyznano 27 (na 74 podań!) i wypłacono ogółem 19,963 rb. 82 k. W rubryce pierwszej największą pożyczkę uzyskał p. Jan Zawidzki na badania z zakresu fizyki (1,000 rb.), w drugiej są pozycye nader poważne: p. Bogusławski 1,200 rb. („Historya Słowian“), pp. Michalski i Heflich 2,700 rb. („Poradnik dla samouków“), dr. Markiewicz 4,347 rb. („Podręczniki chirurgiczne“), p. Weryho 1,923 rb. („Przegląd filozoficzny“ oraz przekłady różnych dzieł filozoficznych Ribota, Gomperza, prace Abramowskiego i Potockiego), pp. Znatowicz i Wróblewski 1,579 rb. („Pamiętnik fizyograficzny“ i przekłady). Bardzo sympatyczny dział zapomóg „z zapisu Wł. Peplowskiego“ liczy 9 pozycyj na sumę 4,188 rb. Z zapisu Zenona Pileckiego przyznano panom Korzonowi (za „Sobieskiego“) i S. Kramsztykowi (za „Ziemię i niebo“) po 375 rubli. Ogółem wypłacono zapomóg 37,476 rb. Należy przyznać członkom komitetu, że starają się coraz usilniej o naprawę zła wyrządzonego ogółowi interesującemu się losami Kasy. Hegemonia medycyny i przyrodoznawstwa ustępuje powoli przed równouprawnieniem wszystkich dziedzin wiedzy naszej. Coraz częściej spotykamy tytuł i nazwisko z pola „humaniorów,“ a nawet trochę sympatyi udzielono kopciuszkowi naszej rodzimej nauki: umiejętnościom społecznym. Dziękujemy i prosimy o „więcej.“

Opowiadano nam, że komitet postanowił nie udzielać więcej zapomóg na wydawnictwo przekładów. Dlaczego? Czyżby tak odrazu, w drodze samorodztwa nadprzyrodzonego zakwitł na ugorze naszym urodzaj autorów oryginalnych? Nic jakoś o tem nie słychać. Wierzymy, że tak będzie kiedyś, po latach, kiedy nasze życie umysłowe, wchłaniając w siebie sole nadchodzące z Zachodu, dojdzie do punktu nasycenia. Tymczasem zaś nie mamy najmniejszego powodu przypuszczać, że czas ten już nastał. Inaczej, rzecz pewna, z książkami, które nakładców i bez pomocy Kasy znalazłby mogły. Ale jest cały, ogromny szereg dzieł epokowych, wielkich, których brak w literaturze naszej odczuwany stale, a które tłomaczy nie znajdują, albowiem nie mogą znaleźć wydawców. Tutaj powinna pomódz Kasa i bynajmniej kosztów nie żałować. Wrócą się one, wrócą i duży odsetek przyniosą, większy stokrotnie od tego, który dają np. .... wyścigi. Każdy specyalista mógłby z łatwością listy takich zasadniczych dzieł ułożyć. Wogóle zaś mniemalibyśmy, że Kasa powinna zerwać z tradycyą wyczekiwania, aż ktoś na jej ręce podanie złoży i „od kosza“ dostanie i że raczej powinna działać celowo według z góry zakreślonego planu, mającego na celu szerzenie prawdziwej nauki i ocieranie krwawego potu z czoła niewielkiej garstki nieuleczalnych fantastyków, miłujących tę naukę i składających na jej ołtarzach zdrowie swoje, byt materyalny i moralny swoich rodzin, wszystkie pretensye do życia, wszystkie osobiste nadzieje i ukochania.

Wskrzeszanie zmarłej.

Pan St. Juszyński, duchowy ojciec spółki rybackiej, która umarła przed narodzeniem się, usiłuje wskrzesić to swoje dziecko zaklęciami w *Rolniku i hodowcy*, zwróconemi do producentów i spożywców. „Czy zmartwychwstanie?“ — pyta on w tytule swego artykułu i odpowiada wyczerpującem dowodzeniem, że zmartwychwstać powinna. Wymaga tego interes zarówno hodowców, jak konsumentów, wyzyskiwanych przez pośredników, którzy nabywają ryby coraz taniej a sprzedają je coraz drożej. P. Juszyński od początku prowadzi kampanię w tej sprawie bardzo mężnie i w teoryi zwycięzko, przytaczane przez niego dowody, obliczenia i wnioski są mocno uzasadnione, a jeżeli mimo to spółka rybacka rozchwiała się i po raz drugi może nie zlepi się, ujemny ten fakt będzie na naszym gruncie bardzo zrozumiały. Poprostu p. J. posiada więcej zapału, przedsiębiorczości i wiary w powodzenie, aniżeli zmieścić się może w chłodnych, spokojnych i lękliwych duszach naszego, niby handlującego ogółu. Chcąc nas wprawić w ruch umiarkowany, trzeba w nas wlać tyle energii, ile objąć zdoła nasza powolność i niezaradność; kto zaś chce nadać działaniom naszym ruch silny i przyspieszony, musi nas wstrząsnąć nadzieją gry pieniężnej z dużem prawdopodobieństwem lichwiarskich zysków. Nasz kapitał nie rozgrzewa się jeszcze przy temperaturze 5, 6, lub 7%, on zaczyna rozpalać się dopiero przy 15 lub 20%. Dlatego totalizator „przerabia“ parę milionów rubli rocznie, a prawie wszystkie przedsiębiorstwa dające mniej niż 10 od sta znajdują się u nas w ręku cudzoziemców, których kapitał jest wrażliwszy i topliwszy. Pomiędzy tedy p. Juszyńskim a tymi, do których on gorąco przemawia, nie zachodzi różnica w przekonaniach co do ekonomicznego znaczenia i handlowego bezpieczeństwa spółki rybackiej, ale różnice w temperamencie, energii i poglądzie na pożądania werbowanych do niej kapitałów.

Warsaw Derby.

Dans les tribunes: Satin duchesse, Emorande, Perle cachemire de soie, Crêpe de soie figaro, Batiste de soie broché, Chantilly, Popeline de soie, Bleu pastel, Crêpe de Chine mauve, Comete, Points de Venise, Voile gris nuage, Voile-crepon, Moire gris perles, Taffetas secession, Vert ondine, Paillet, Turquoise, Creve, Faille, Guipure de Venise, Gris argent, Paillettes vert emeraude, Mordoré, Violette de Parme etc.

In running place: Nautilius, Smiko, Wooden, Australian, Lancelot, Cambyse, Palladin, Fare Well, Arcj, Tradlos, Falco, Bambino, Homard etc.

Przy totalizatorze: gentlemeni, mianowicie: subjekci handlowi, fryzyerzy, kantorowicze, posłańcy publiczni, sklepikarze, konduktorzy, subhastowani obywatele ziemscy, kokoty 1, 2, 3, 4 gildyi, grajkowie restauracyjni, grabarze, stróże nocni, inkasenci piekarń i browarów, sklejacze gilz itd.

There is Warsaw Derby.

Wycieczki po kraju.

Nie zapomnę nigdy miłego wrażenia, którego doznałem przed rokiem w Tyrolu, na widok licznych gromadek turystów, przebiegających w różnych kierunkach, z prawdziwie młodzieńczym zapałem, swój malowniczy kraj rodzinny. W gromadkach tych przeważał żywioł młody: studenci uniwersytetów, uczniowie szkół średnich, młode małżeństwa, nawet panny „z dobrego domu,“ lecz obok nich na każdym kroku można było spotkać ludzi poważnych, nieraz siwowłosych, którzy z węzełkiem na plecach, a kijem alpejskim w ręku, śpieszyli od stacyi do stacyi, od jednej miejscowości do drugiej, i z niekłamanym zachwytem wchłaniali w siebie uzdrawiające duszę piękno natury, pieścili wzrok jej czarem wszechpotężnym. Wdałem się w dłuższą rozmowę z jednym ze studentów z Innsbrucku, a gdym go pytał o przyczyny objawu powyższego, odpowiedział tylko z akcentem podziwu w głosie: „Jakto? Czyż można nie znać kraju własnego?“

Umilkłem, bo wstyd mi było wyznać, że w stronach, skąd ja pochodzę, ludzi znających dobrze nie kraj, lecz powiat swój własny, możnaby szukać ze świecą, że nawet wśród t. zw. „inteligencyi“ nietrudno u nas spotkać jednostki, mieszkające o mil parę od miejsc malowniczych i pamiętnych i nie znające ich wcale, jeśli tylko nie leżą one na jednej ze zwykłych dróg ich kramarskiego żywota.

W ostatnich czasach jednak budzić się i u nas zaczyna pewien ruch pożądany w kierunku krajoznawstwa. Mnożą się wycieczki, powstają wydawnictwa specyalne, zjawiają się ludzie, pragnący przez odpowiednie wskazówki ułatwić innym poznanie piękniejszych i ciekawszych okolic kraju. Jednym z pożądanych objawów tego nowego prądu są właśnie ładne i dostępne dla wszystkich książeczki p. Al. Janowskiego, który w szeregu popularnych wydawnictw pragnie zachęcić młodzież i inteligencyę naszą do wycieczek po kraju, podnosi malowniczość wielu nieznanych prawie zakątków jego, zwraca uwagę na ciekawe zabytki dziejowe, udziela wreszcie rad praktycznych, opartych na własnem doświadczeniu. W przeszłym roku otrzymaliśmy z tego źródła wyczerpujący, zaopatrzony w ilustracye i mapy, opis wycieczki do Kielc, Chęcin, Karczówki, Bodzentyna, Wąchocka, Iłży i Radomia, połączonej ze zwiedzeniem mało znanych, a jedynych w kraju naszym gór Świętokrzyskich. Obecnie p. Janowski daje nam znowu ładny i ciekawy opis najpiękniejszej może w kraju naszym wycieczki w okolice Sandomierza, która w ciągu pięciu dni pozwala turyście zwiedzić takie, ciekawe pod względem historycznym i malowniczo położone miejscowości, jak Opatów, Ujazd, Klimontów, Ossolin, Sandomierz, poznać ładne, w wielu miejscach nieustępujące brzegom Dunaju, wybrzeża Wisły i powrócić do Warszawy statkiem przez N. Aleksandryę.

Z ładnych książeczek p. Al. Janowskiego wyziera dobra znajomość przedmiotu, tchnie z nich balsamiczna woń pól i jakiś zapał młody. To też powinny one znaleźć się w ręku tych nawet, którym okoliczności, czy raczej brak potrzebnej energii nie pozwala na razie wychylić się na dni nawet kilka z rozgrzanych przez słońce, zakurzonych murów miejskich. Może w nich te leniwe dusze znajdą zachętę i pobudkę do pokonania trudności rzekomych.

Wł. B.

Kwestyonaryusz dla korespondentów.

„O czem pisać korespondencye z prowincyi?“ — pyta p. St. Koszutski w świeżo wydanej broszurze i dla ułatwienia odpowiedzi udziela korespondentom prowincyonalnym długiego szeregu wskazówek, podzielonych na trzy główne kategorye: miasta większe (gubernialne, powiatowe większe, fabryczne), miasta mniejsze, wieś. W poszczególnych działach zwraca uwagę na dane ogólne, ludność, życie ekonomiczne (przemysł wielki, rzemiosła, przemysł domowy, handel), szkoły i oświatę, gospodarkę, życie miejskie i gminne, komunikacye, stan sądownictwa, rozporządzenia

administracyjne, instytucye publiczne i stowarzyszenia, życie towarzyskie itd., poświęcając każdemu z tych działów szereg wyczerpujących pytań ze szczególnem uwzględnieniem objawów życia ekonomicznego prowincyi.

W krótkim wstępie do tego kwestyonaryusza, autor, zastanawiając się nad przyczynami, dla których życie prowincyi i jej potrzeby znajdują w naszej prasie słabo tylko i dorywcze odbicie, doradza między innemi utworzenie w większych, a nawet i mniejszych miastach prowincyonalnych „czegoś w rodzaju stałych organów czy komitetów redakcyjnych, złożonych z korespondentów różnych pism.“ Organy te, stawiając na pierwszym planie korzyść społeczną, zajmowałyby się gromadzeniem i udzielaniem sobie nawzajem wiadomości z życia miejscowego, zastanawiałyby się nad ważniejszemi kwestyami i potrzebami miejscowemi i podnosiły je w jednem lub kilku pismach naraz.

Wszystko to wygląda bardzo pięknie, rady i wskazówki p. Koszutskiego przydadzą się niewątpliwie poważniejszym korespondentom prowincyonalnym i stanowić będą ułatwienie dla tych wszystkich, którzy „swą pracą obserwatorską, kronikarską i publicystyczną chcieliby się przyłożyć do bliższego poznania warunków bytu prowincyi.“ Nie ręczymy tylko, czy niektórym z nich nie nasuną one uwagi, że jednak nie zawadziłoby również utworzenie „czegoś w rodzaju“ stałych komitetów doradczych przy redakcyach wielu pism warszawskich. Nowe te organy miałyby obowiązek przypominania trzy razy dziennie kierownikom gazet i kuryerów, że poważne objawy życia miejscowego i prowincyonalnego zasługują na takie chociaż względy na łamach prasy warszawskiej, jakimi cieszą się tu stale wyścigi wiosenne, tualety aktorek lub rozwiązania szarad i logogryfów. Dopóki to nie nastąpi, nic nie pomogą najlepiej nawet ułożone kwestyonaryusze i w dalszym ciągu odbierać będziemy skargi korespondentów, że z poważnego listu z prowincyi, poruszającego szereg ważnych potrzeb miejscowych, redakcya dziennika X zużytkowała tylko wiadomość o teatrze amatorskim i świetnem polowaniu na łosie w dobrach hrabiego Bzikowskiego. *ak.*

BADANIA NAUKOWE.

RZUT OKA NA HISTORYĘ POLSKĄ.

II.

Pakt koszycki wyprowadza tłumy szlacheckie na widownię życia publicznego. „Prosty rycerz — pisze R. Hube *) — czyli szlachcic, nie zaszczycony dostojeństwem ziemskiem lub dworskiem, nie miał żadnego znaczenia politycznego. Nie była mu wprawdzie zagrodzona droga do podniesienia się do godności barona, ale jeżeli nie pochodził z rodów dygnitarskich, niemało to pewno z jego strony kosztowało poświęceń i wymagało zbiegu bardzo przyjaznych okoliczności. Nie należąc do rzędu panów, grał w społeczeństwie tylko rolę podrzędną i albo spędzał życie na usługach dworskich u możniejszych panów, jako ich domownik, czyli dworzanin, albo poświęcał się w zaciszu domowem rolnictwu, daleki od spraw publicznych. Jawniejsze jego wystąpienie było albo zuchwalstwem, albo sprawą wyższych kierowników, albo wreszcie dorazowych przyzwoleń panującego. W stosunku do baronów stał na łasce ich sądownictwa i spełniał ich uchwały, w których postanowieniu nie przyjmował, że się tak wyrazimy, prawnego udziału.“ Pakt koszycki otwiera właśnie takiemu prostemu rycerstwu widownię życia publicznego, którą zresztą trzeba było jeszcze wywalczać. Walka przeciw możnowładztwu toczy się z całem napięciem już za pierwszych Jagiellonów, zwłaszcza zaś przybiera ostry charakter za Kazimierza Jagiellończyka. Monarcha ten, wszedłszy w kolizyę z panami i wyższem duchowieństwem, osobiście objeżdża sejmiki poszczególnych dzielnic, ażeby tem snadniej pozyskać poparcie tłumu szlacheckiego. Sejmiki te pojawiają się na dobre za Władysława Jagiełły, a raczej z dawnych zborów możnowładczych, pośrednich pomiędzy radą przyboczną a zgromadzeniem seniorów i dostojników, zamieniają się na instytucyę ogólno - szlachecką. Stanowią one pierwszy szczebel w rozwoju przyszłej rzeczypospolitej, z jednej bowiem strony zrodzą samorząd miejscowy, z drugiej doprowadzą, za wnuków Jagiełły, do organizacyi sejmu ogólno krajowego. Zaprawiona do życia politycznego na sejmikach, szlachta będzie korzystała z każdej okazyi wojennej, ażeby wymódz dalsze rozszerzenie praw swoich, którym pakt koszycki dał początek przez zniesienie stacyi i naprawy zamków królewskich, przez ograniczenie podatków i zwolnienie rycerstwa od posługi orężnej po za granicami kraju. Potrzeba wojenna, jednocząc ogół rycerski, zamienia obóz na arenę zapasów klasowych, szlachta domaga się zwiększenia przywilejów, tj. osłabienia pęt, jakie organizacya państwowa nakłada na pojedynczych członków warstwy rycerskiej, oraz uszczuplenia swobody, z której korzystają inne odłamy narodu ku materyalnej szkodzie ogółu szlacheckiego. Ostatecznie ujarzmienie ludu i upośledzenie polityczne miast dojrzewają właśnie podczas wybuchów niesforności obozowej. Koło obozowe pod Czerwińskiem zmusza monarchę do zrzeczenia się nieograniczonego bicia monety, oraz do przyznania osobom stanu szlacheckiego nietykalności osobistej i majątkowej *(neminem captivabimus nisi jure victum)*. Po rokoszu czerwińskim następują inne zaburzenia zbrojne w obozach. Statuta nieszawskie, będące potwierdzeniem korzyści społecznych i politycznych, otrzymanych przez szlachtę podczas rokoszów obozowych, wyzwalają tę warstwę z pod sądownictwa urzędników królewskich, organizują wymiar sprawiedliwości na zasadach federacyjnych, wreszcie oddają sejmikom dzielnicowym prawo rozstrzygania o wypowiedzeniu wojny, oraz głoszą, iż król nie będzie rozdawał ważnych dostojeństw nikomu, prócz osób zasłużonych wiekiem, doświadczeniem, rozumem, a przytem posiadających dobra w tej ziemi, w której urząd zawakuje. Słowem rozbijają one centralizacyę państwową na rzecz ustroju federalistycznego dzielnic, mniejsza pod jaką nazwą będą te ostatnie nadal słynęły— i to wszystko dzieje się w tym czasie, kiedy społeczeństwa Europy zachodniej usiłują wzmocnić łączność państwową i w ten sposób stwarzają warunki dla istnienia i wzrostu samodzielności kulturalnej. Ażeby uniknąć niesforności wojskowej i jednocześnie otrzymać pomoc w zamiarach wojennych, Jan Olbracht na sejmie, który rozwinął się z sejmików i winien zastąpić rokosze obozowe, potwierdza w r. 1496 dawne przywileje oraz sprzedaje szlachcie lud i miasta; to samo, acz z innych pobudek, robi król Aleksander na sejmie piotrkowskim w r. 1504 i na radomskim w roku następnym: na pierwszym z nich zapada prawo o incompatibiliach, wymierzone przeciw możnowładztwu i głoszące, że niewolno łączyć w tem samem ręku dwóch dygnitarstw, drugi w uchwale *Nihil novi* zamienia sejm z instytucyi przypadkowej na stałą formę władzy prawodawczej, gromadzącą przedstawicieli rycerstwa w przeciwstawieniu do senatu, w którym zasiadają dostojnicy, oraz postanawia, iż monarcha nie może przedsiębrać żadnych kroków bez zgody obu „stanów.“

Możnowładztwo i duchowieństwo stawiają czoło wciąż wzrastającym roszczeniom stanu szlacheckiego. Ostatnie zapasy pomiędzy przeciwnikami przypadają na czasy Zygmuntowskie.

Zygmunt Stary pragnie stworzyć stałe wojsko, oprzeć pobór podatków na zasadzie taksacyi państwowej, słowem w zmienionej formie podejmuje myśl Kazimierza Wielkiego. Rycerstwo, które zamienia się coraz bardziej na gospodarujące ziemiaństwo i wraz z tem staje się coraz niezdatniejszem do prędkiej mobilizacyi wojennej i wogóle do prawidłowej posługi orężnej, upiera się przy pospolitem ruszeniu, stanowiącem jego największą potęgę, jako klasowy ordynek bojowy. Zwraca się ono nadto przeciw duchowieństwu, wolnemu od daniny krwi, nieuiszczającemu podatków, pobierającemu dziesięciny z majątków prywatnych, pozywającemu w wspólnych sprawach szlachtę przed swoje urzędy. Władza monarsza zrozumiawszy, iż z ogółem szlacheckim nie dojdzie do ładu, przechyla się na stronę możnowładztwa. Czynniki te składają się na wytworzenie najpotężniejszego w dziejach naszych ruchu umysłowego i ideowego, który ciągnie się przez panowanie obu Zygmuntów i wysycha z nastaniem tronu obieralnego. Zresztą działa także wpływ humanizmu europejskiego, dzięki temu ruch reformacyjny zaszedł u nas dalej, niż by mógł, gdyby nie miał takiego przykładu. Kacerstwo szerzy się w miastach pruskich i wśród najinteligentniejszych kół szlacheckich, jako wyraz niezadowolenia przeciw duchowieństwu, wojna Kokosza jest objawem protestu w zakresie zagadnień politycznych. Fala wzbiera jeszcze silniej za Zygmunta Augusta. Na sejmach posłowie domagają się ściągnięcia nieprawnie rozdanych dóbr królewskich, incompatibiliów, zrównania ustrojów Litwy i Polski, co umożliwiłoby kolonizacyę Wschodu i wyzwoliłoby szlachtę litewską z pod władzy magnatów; usunięcia sądów kościelnych i wogóle uregulowania stosunku szlachty do Kościoła. Ziemiaństwo nie zapomina i o swobodach handlowych: zniesieniu cła od wywozu i ulgach dla towarów zagranicznych. Zajścia z powodu małżeństwa z Barbarą Radziwiłłówną pochodzą z obawy wzmożenia możnowładztwa, które zwłaszcza na Litwie posiada wyjątkowe prawa. Podczas tych zapasów szlachta po raz pierwszy wystawia program polityki rzeczywiście narodowej — naturalnie w szrankach narodu szlacheckiego. Kościół narodowy, unia z Litwą, uregulowanie władzy prawodawczej i wykonawczej, oraz organizacyi wojskowej, bardziej odpowiadającej duchowi czasu, który zaczyna wymagać stałej i wyspecyalizowanej armii, wyzwolenie sejmu z pod przewagi sejmików, co obezwładnia czynności ogólno - narodowe, oto kwestye, stale poruszane na sejmach za ostatniego z domu Jagiellonów. Myśl narodowa usiłuje oswobodzić się z powijaków tradycyi dzielnic i separatyzmu, oraz stworzyć program polityczny wznoszący się po nad interesami pojedynczych ziem i klik, jako też pojedynczych członków warstwy szlacheckiej. Niewątpliwie był to okres przełomowy, rozstrzygający o tem, czy Polska ma zostać państwem przystosowanem do warunków otoczenia lub zmienić się na federacyę kantonów-województw, te zaś poniekąd na federacyę dominiów, co stworzyło gwarne i swobodne życie, ale skazało kraj na bezwładność nawet gdy chodzi o walkę odporną.

Wypadki, wynikające zresztą częściowo

*) Statuta nieszawskie, str. 17—18.

ze struktury ekonomicznej kraju, skierowały rozwój na tę ostatnią drogę.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA

LUŹNE UWAGI

o metafizycznych lotach poezyi współczesnej.

II.

Bardzo oryginalny pomysł zawiera jedna z „psalmodyj“ Komornickiej: „Pan kona.“ Kona, bo wysnuł z siebie świat, oddał mu ducha, przelał w swe twory wszystko swe życie. Stworzenie żyje, lecz twórca umiera. Ale „wypiła nicość potęgę Pana i niemasz jej w stworzeniu.“ „Stwarzał Pan twory swoje ku chwale swojej — a są nikczemne, ku miłości — a zimne są i obojętne. Promienie chwały pożarła nicość — i ogień miłości Pana. Stworzył Pan ku rozkoszy oczu swoich, a rozwiewają się! uszu — a nie słychać ich; rąk — a wymykają się dłoniom... Albowiem stworzył je z nicości — i nicość pochłonęła moc tego, który jest — i została nicością.“ Może tylko niewiadomość moja każe mi utrzymywać, że śliczny ten motyw nigdy przez nikogo użyty nie był. Ale natchnienia starczyło poetce znowu na krótką tylko metę. „I umierać tak będzie wieki, aż się odrodzi śmiercią we wnętrznościach swoich: aż sny stworzenia wzbudzą się w nim radosne — sny nowe.“ Zapewnienie pocieszające, lecz skąd ta wiara? gdzie spoczywa siła odrodzenia? i jak ją po imieniu nazwać? gdzie tu synteza obok zaczynu na syntezę? I skąd pochodzi niemoc, obezwładniająca tylu poetów współczesnych? I czy na pytanie to rzucą światło wywody teoretyczne, które im służą jednocześnie za tarczę i za broń zaczepną? Na różne sposoby kładą nam do głowy, że sztuka stoi po nad życiem, że cywilizacya jest w zaczynie swym wytworem jednostek, że twórczość artystyczna jest przedewszystkiem objawem duszy i dusz kształcicielką, objawem duszy, uwolnionej z pod granitowego pancerza rasy i cywilizacyi itd. Bo jakże? Ta sama doba wydaje dramaty filozoficzne i zgiełkliwą trylogię Sienkiewiczowską, więc wpływ otoczenia i czasu sprowadza się do zera. Co za zabójczy dla różnych społeczników zarzut! Istotnie: spójrzcie, ile kwiatów na łące, ile krzewów w lesie! Któż będzie twierdzić jeszcze, iż cała ta rozmaitość zależną jest od gleby i działania promieni słonecznych! Dowód zarazem oryginalny! No, co prawda, odzywał się już z nim niemal przed pół wiekiem St. Beuve. Prawda i to także, iż przypuszczał on pomiędzy faktami powszechnymi a ostatnimi ich wynikami istnienie wielu przyczyn szczegółowszych i bliższych, któreby tłomaczyć mogły różnice jednostkowe. Oglądając się na te czynniki nie potrzebujemy wyjaśniać wszystkiego faktami nie mniej, niż tamto powszechnymi, lecz stokroć mglistszymi; nie potrzebujemy powtarzać wciąż tego samego twierdzenia o jakiejś „duszy“ absolutnej, nieujętej, niezależnej od wszelkich widomych swych objawów, chociaż w tych tylko objawach, w kategoryach czasu i przestrzeni poznawalną się dla nas staje; nie potrzebujemy uciekać się do subtelnego i niefilozoficznego rozróżnienia pobudki a pojęcia, bo i przyczyna i skutek to tożsamość, a raczej jest to tylko określenie następczości zjawisk: i nie potrzebujemy wreszcie przypominać o wspólnych znamionach dzieł, należących do pewnego okresu, a które nam pozwalają na takie np. uogólnienia, jak prąd romantyczny, realistyczny, neo-romantyczny itd.

Niektórzy ze „zdobywców młodych“ czując, jak złudną jest ich niezależność bezwzględna od wpływów zewnętrznych, wysuwają pojęcia „kultury“ i „rasy,“ pojęcia chwiejne i niepewne, zamiast dawnych konkretnych i ustalonych. Zwłaszcza zagadkową i metafizyczną, niemniej niż „naga dusza,“ jest rasa, w której należy rozróżniać duszę narodu a politykę jego. Mniejsza zresztą o wszystkie te ogólniki. Ciekawszą byłoby rzeczą rozpoznać, jakiej „kultury“ dziećmi są głosiciele nowych prawd estetycznych i etycznych. W każdym ruchu czynnikiem wagi pierwszorzędnej jest naśladownictwo, uleganie poddawczemu działaniu, wychodzącemu z tego lub owego ośrodka. W krótkich dotychczasowych dziejach „szkoły krakowskiej“ czynnik ten ujawnił się wyraziście. Naśladownictwo jednak tylko potęguje i rozszerza fale zjawisk, samo zaś przez się niczego nie tłomaczy, gdyż nie zawiera w sobie wyjaśnienia, skąd wypływa podatność na te lub owe pobudki, zarówno jak pozostawia na uboczu pytanie, skąd tryskają źródła nowych prądów.

Skąd tryskają? Zdaje mi się, iż ktoby się kusił o rozwiązanie tej zagadki, nie powinien mieć na uwadze jedynie sprawy sztuki w jej istocie, czy w środkach jej działania. Spływają tu w jedno łożysko różne, niekiedy wręcz sobie przeciwne nurty, lecz w których najczęściej widzieć się daje jeden wspólny objaw — niechętne odwracanie się od życia, pewne znużenie dzisiejszym stanem stosunków społecznych, wydających z siebie co chwila złośliwe wrzody, panamy i drejfusyady, dżingoizmy, hakatyzmy, znamię zgnilizny wewnętrznej — stosunków strasznych nietylo wielkiemi i zbiorowemi zbrodniami, co zdziczeniem moralnem, co trądem, który wżarł się w każdy nerw i mięsień ustroju, zatruł każdą kroplę krwi. Może tam gdzieś w najgłębszych pokładach życiowych są warstwy, trądem niedotknięte; może drzemiące w nich siły dojrzeją, a dobywając się na jaśnię, podmuchem swym zmiotą precz wstrętną pianę, pływającą po powierzchni... Lecz nie każdemu los zdarzył dotrzeć do tych tajnych źródlisk, bo przedewszystkiem nie o teoretyczne poznanie jakiejś prawdy szczegółowej tu chodzi, lecz o nasycenie się duszy uczuciami i popędami, a nieraz tylko cofając się w siebie i stwarzając swe wewnętrzne królestwa udzielne zachować może ona swą czystość; i również w ten tylko sposób niekiedy może znaleźć ujście czynnemu swemu usposobieniu, potrzebie uzewnętrzniania się i rozszerzania się. Ucieczka przed życiem jest tedy jednym z odruchów na pewne objawy tegoż życia; odruchem takim jest idealizacya sztuki dla sztuki, niepodległej mętnym falom współczesności, jest nim kult jednostki, w pewnem rozumieniu szlachetny i zbawienny. Lecz na wspólnym polu odruchu spotykają się różnorodne usposobienia i różnolite objawy, dodatnie i ujemne, czynne i bierne. Znajdzie się tu i właściwy dekadentyzm, wykwit płytkich i zabagnionych jeziorzysk i chorych dusz, posiadający całkowitą świadomość swego rozkładu i rozkoszujący się różnowzorą pleśnią, jako oznakę wyższości i daleko posuniętej kultury. A tuż jednocześnie widzieć się dają celowo podejmowane usiłowania oczyszczenia naszej atmosfery z zarazków, czy to, dajmy na to, w postaci naiwnego eleuteryzmu, czy też w poważniej przedstawiającym się, acz kolwiek w znacznym stopniu na złudzeniach opartym, ruchu etycznym. Tak pod działaniem tej samej siły ciążenia jedna szala wagi idzie w górę, gdy druga się opuszcza; i szprychy koła, choć w tej samej piaście osadzone, wskazują nam odmienne kierunki; tak w przeciwne sobie strony padają krople, strząśnięte przez wirówkę, i to samo słońce rodzi planety i świat ustrojowy w całej nieprzebranej mnogości kształtów, a jeden promień rozszczepia się w tęczę... I nigdy, i nigdzie nikt i nic nie uwolni się z pod fatalnego prawa ciążenia powszechnego, i każdy twór rozwijać się zawsze będzie tylko w falach światła słonecznego...

Nie było atoli naszym zamiarem mówić o tych objawach twórczości, które już wkraczają na pole działalności praktycznej, pozostańmy w dziedzinie sztuki. Jakie ostatecznie plony wydadzą te jej kierunki, które tu głównie mieliśmy na uwadze? Czy się skrysztalą w dzieło epokowe, któremi ludzkość znaczy swą drogę w pochodzie dziejowym? Bądź co bądź całkiem bezpłodnemi one nie pozostaną. Bo oto kroczą całe zastępy ludzi ognistych i szlachetnych, ludzi namiętnie oddanych poszukiwaniom ideału, popychanych w swej drodze żądzą otrząśnięcia się z kurzawy, która się tumanami unosi nad bitym gościńcem zabiegów o cele powszednie i małe. Ich oczy zmęczone wpatrują się w nieśmiertelne i wiecznie młode posągi piękna, ich bóstwem jedynem i religią jedyną — sztuka, i dlatego bóstwo zlewa zdroje swych łask na ich kornie pochylone głowy, dlatego sztuka w ewolucyi swej przez nich swą drogę obrała. Energia promienia słonecznego przeistacza się w liściu w chlorofil, od którego zależy życie i zdrowie rośliny. W ten sposób „stara“ sztuka wchłania w siebie „nową.“ Lecz czemuż nikt z wynalazców udoskonalonej harfy z strun jej nie wyzwoli potężnej pieśni, przemocą zginającej kolana? Może dlatego, iż posiadają oni mniej lub więcej jasną świadomość, czego uniknąć pragną, lecz nie widzą przed sobą wyraźnego celu? Stąd to rozstrzelenie usiłowań, stąd wikłanie się w nieprzeliczonych sprzecznościach, stąd wynurzanie się coraz to nowszych objawień i oddzielanie się coraz to innych odnóg od wspólnego pnia. Ruch posiada przeważnie ujemne znamiona. Jest on raczej cofaniem się, odwracaniem się od pewnych zjawisk, niż dążeniem do słońc jaśniejących lub przynajmniej przeczuwanych. I tu też tkwi źródło chorobliwej pokusy, której nie wszyscy oprzeć się umieją, pokusy szukania oryginalności, wynalezienia czegoś niezwykłego i nowego nie dlatego, że prawdziwe i potrzebne, lecz właśnie, że nowe, niezwykłe i paradoksalne. A czy mocą afektacyi w tym lub owym kierunku, czy świadomym wysiłkiem można zdobyć oryginalność i samoistność rzeczywistą? I czy takimi środkami osiągnięte wyniki będą naprawdę płodnymi? Pewnie, szlachetniejsze to, niż pluskanie się w pierwszej lepszej zamulonej sadzawce, niż twórczość (!)... *nomina sunt odiosa*, lecz czyż na tej drodze nie grozi niebezpieczeństwo zawiśnięcia w próżni? Kroczenie poomacku, na oślep, niewiadomość kresu staje się obecnie wyrozumowaną a mistyczną jednocześnie zasadą. „Przęsło po przęśle buduje człowiek sztuką most dziwny nad przepaściami i posuwa się wciąż do *nieznanego* nam celu.“ Tak, niewątpliwie most taki buduje sztuka, *jak każdy inny objaw duchowy* ludzkości, która w nieznanym jakimś punkcie wieczności się poczęła i w nieskończoność dąży. W konstrukcyach logicznych niejednego z głosicieli nowych prawd niejednokrotnie wyczuwamy pewną siłę, o ile zamykają się w krytyce i przeczeniu. Lecz zawsze, gdy stawali u mety, odpowiedzią i twierdzeniem był tylko znak zapytania; nigdy zaś nie otwarto przed nami podwoi przybytku, w którym, jak mówiono, bóstwo króluje. Zaczynamy rozumieć, dlaczego tak było i tak być musiało; dlaczego w twórczych lotach najśmielszy rozmach skrzydeł miał się zakończyć nieodbicie gorzkiem uczuciem zawodu. Będąc jedną z fal życia powszechnego, a nie chcąc sły-

szeć o tem, artyści wbrew temu, w co nam wierzyć każą, nie biorą w siebie głosów przeszłości i przecinają nici łączące ją z teraźniejszością, i dlatego nie wzniosą gmachów, któreby oświecić mogła zorza dnia jutrzejszego. A jeżeli wzniosą, to wówczas, kiedy ich ogarnie potęga ukochań silniejsza nad nich i nad ich teorye. Ale wtedy nie będzie już miejsca na rozdział pomiędzy sztuką nową a starą, społeczną a nadspołeczną.

A. Drogoszewski.

Max Klinger.

Stoi przed nami jedna z najciekawszych postaci Parnasu sztuki współczesnej. W dobie obecnej, której hasłem jest specyalizacya, budzi Max Klinger podziw swą prawdziwie renesansową wszechstronnością i siłą. Malarz, rysownik, akwaforcista, rzeźbiarz, pisarz, a pono i muzyk, może on śmiało powiedzieć o sobie: „jestem artystą, a więc nic z tego, co dotyczy sztuki, nie jest mi obce.“ Z jednakową niemal subtelnością i zrozumieniem postrzega, odczuwa i odtwarza linie, kształty i barwy. Bliższa, bardziej drobiazgowa analiza pozwala zauważyć jednak, że jedna zdolność przewyższa w nim inne: zdolność rysowniczo-rzeźbiarska. Z pod jego ołówka lub rylca wychodzą postacie uderzająco żywe. Umie on jedną linią, jedną kreską wydobyć przedziwną plastykę, miękość, wyraz, życie.

Niewielu znajdzie się takich, którzy w ciągu całego długiego życia swego uczynili więcej, niż ten młody jeszcze artysta (Klinger ur. 1857 r.). Kilkanaście cyklów akwafortowych i rysunkowych, kilkanaście płócien, między któremi tak olbrzymie, jak „Ukrzyżowanie,“ „Sąd Parysa“ i „Chrystus na Olimpie,“ kilkanaście rzeźb, przeważnie kolorowanych, jak „Amfitryte,“ „Salome“ i in., mnóstwo szkiców, rysunków, mniejszych płócien i rzeźb, traktat o „Malarstwie i rysunku“ itd. — oto dorobek jego dwudziestopięcioletniej jego działalności. A nie zapominajmy, że to księga nie zamknięta, że Klinger jest w pełni sił, że pracuje ciągle, a pracować umie w sposób prawdziwie zdumiewający, przechodząc od palety i sztalug do dłuta, do ołówka, kliszy i rylca. A jaka w tej pracy jego nieskończoną rozmaitość!.. W księdze życia i ducha ludzkiego śmiałą ręką przewraca kartę za kartą, czyta ją, stara się zrozumieć i odtworzyć — po swojemu. Czy tylko zawsze i wszędzie po swojemu? Czy można przypuszczać, aby ten wszechstronny talent był jednocześnie tak jednolitym, aby wszędzie i zawsze mógł zostać sobą? Tak — i nie. Wygląda to, jak gdyby Klinger, patrząc na płótna Böcklina i Menzla, na stare rzeźby greckie, mówił sobie: „spróbuję i ja.“ Próbuje, wychodzą rzeczy, zdradzające naśladownictwo, próbuje dalej — i tworzy dzieła nawskroś własne. Inne talenty nieraz poddają mu impuls, wskazują drogę — a on idzie za niemi i odkrywa nowe nieznane krainy. Przyjrzyjmy się chociażby jego karyerze czysto malarskiej. W pierwszych pracach, jak np. w „Spacerującym,“ znać ogromny wpływ potroszę nauczyciela von Gussowa, realisty a jednocześnie twórcy cukierkowych portretów, zdobiących salony plutokracyi berlińskiej—i wpływ wielkiego Menzla. Böcklin był ojcem chrzestnym „Syreny,“ pobyt w Paryżu i bliższa znajomość plein-airzystów francuskich odbija się w jego płótnie „Am Strande,“ aż oto mamy wspomniany już „Sąd Parysa“ i ostatnio „Chrystusa na Olimpie,“ w których Klinger odrzuca wszelkie wpływy i staje się sobą samym: myślicielem i artystą. Te dwie cechy łączą się w nim w sposób przedziwny. Nigdzie jedna nie zabija drugiej. Dzięki temu Klinger nigdy nie staje się „literatem,“ gardzącym formą i pochłoniętym treścią, a jednocześnie nigdy nie otacza przepyszną powłoką zewnętrzną pustki wewnętrznej. Jedynym, prawdziwym jego mistrzem, przed którym korzy się zawsze — jest samo życie; bierze on z niego wszystko: rzadkie uśmiechy, dziecięcą prostotę, gorycz i łzy. I wszędzie Klinger pozostaje wiernym prawdzie, nie jest nigdy — jak to powiada o nim w swej monografii Max Schmid — „obcym światu marzycielem, nie szuka cienia rzeczy ani mglistych alegoryj, lecz jest badaczem rzeczywistości, badaczem tak bystrym, jakim potrafi być tylko taki Menzel.“ Realizm swój posuwa Klinger nieustraszenie aż do granic, przy których małomieszczański moralista poczyna się modlić pobożnie do *lex Heinze*. Lecz myliłby się ten, ktoby sądził, że Klinger ma cośkolwiek wspólnego z efemeryczną sztuką niektórych dzisiejszych modernistycznych zdechlaczków. Dla niego życie nie zamyka się w obrębie murów szpitala waryatów, lecz dopiero po za nimi się zaczyna: jego fantazya nie lubuje się w wizyach erotomana, alkoholika lub cierpiącego na paranoję: za wiele widzi tragizmu w rzeczywistem, zdrowem, codziennem życiu, aby miał grzebać się w błocie zgnilizny ducha i zgnilizny ciała.

Nie mogę się wdawać w rozbiór szczegółowy twórczości artystycznej Klingera. Byłoby to mało pouczające: nie mogę otworzyć przed czytelnikami licznych i wielkich tomów, zawartych w pięknych zbiorach gabinetów sztychów galeryi drezdeńskiej, nie mogę ich poprowadzić przed „Chrystusa na Olimpie“ lub „Sąd Parysa.“ Postaram się tylko pokazać cechy jego talentu, posiłkując się niewielką kolekcyą, zgromadzoną w Salonie p. Krywulta. Mamy tu prawie cały cykl dramatów (brakuje tylko dwu pierwszych „Widmungsblatt'ów“), pełny cykl „Ewa i przyszłość“ oraz wyjątki z drugiego cyklu „O śmierci,“ z „Miłości,“ z „Intermezzi“ i, zdaje się, z „Radierte Skizzen.“

W „Dramatach“ odtwarza Klinger fakty z życia, które nieraz stanowią treść kuryerkowych „wypadków i wiadomości bieżących.“ Fakty niemal banalne, bardzo proste i bardzo codzienne. A ile grozy wydobywa z nich rylec artysty! Oto ciemny zaułek; biedna, nędzna dziewczyna, może omdlewająca z głodu, opiera się o mur kamienicy i z bólem słucha słów starej rajfurki, która zapewne w jaskrawych barwach maluje jej szczęście — za cenę czci i człowieczeństwa. W mroku widać sylwetkę tego, który za honor i ciało zapłaci złotem. „Jeden krok“ — oto tytuł kartonu — bardzo prosty i w swej postaci tragiczny. A dalej na trzech kartonach dzieje matki („Eine Mutter“). Pijany mąż z kijem rzuca się na matkę, tulącą do siebie dziecię. Sąsiedzi wybiegli za łotrem na przyczepiony do wysokich murów balkonik i wstrzymują go. Nieszczęśliwa pragnie widocznie skończyć raz z tą męką. Ją i jej dziecko przytulą do swego zimnego łona fale rzeki. Lecz „miłosierny“ rybak wydobył z wody obie ofiary: żywą matkę i martwe dziecię. Z jaką siłą wyraził tu artysta psychologię widzów, ciszę śmierci na twarzy dziecka, ostateczny upadek ducha — na całej postaci „zbrodniarki.“ Tak, „zbrodniarki,“ bo to tylko miano ma sprawiedliwość ludzka, która wlecze ją, o ironio, przed sąd, przed jedyny trybunał swej prawdy. Co zrobią ci w togach i biretach z tą nieszczęśliwą, która nie sądu może od nich wymagać, ale litości?..

Na małej polance leśnej leży trochę ubrania, a na niem zapieczętowany list („Im Walde“). Ponury bór skrzydłami drzew swoich zakrył jakąś straszną tajemnicę. Płynie z kartonu tego jakaś wielka a cicha groza.

Dalej najsłabszy, pomimo zalet rysunku, karton cyklu: „Ein Mord.“ Na odległej uliczce spełniono zabójstwo; policyant walczy z mordercą. Tłum skupia się koło trupa i przy walczących.

Na gorącym uczynku („In flagranti“) chwyta mąż żonę swoją. Zabójczy wystrzał przerywa ciszę nocną samotnej willi, straszy stado gołębi, przerażeniem napełnia duszę kobiety i kładzie trupem jej kochanka.

A oto dramat dziejowy („Märztage“ — trzy kartony). Tu Klinger staje się psychologiem tłumu. Ryk walki, barykady uliczne, huk wystrzałów, skłębione ciała walczących, a wreszcie cicha noc i konwój, wiodący tych, co w pamiętne dni marcowe na ulicach Berlina walczyli za wolność.

Z „Miłości“ mamy tylko epilog, przerażający, okropny koniec. Ta, która kochała, nie żyje; umarła w chwili, gdy z łona jej naświat wyszedł owoc miłości. Aśmierć w płaszczu czarnym i wielkim czarnym kapeluszu, przykrywającym czaszkę, unosi w jakąś ciemność martwego, potwornego noworodka. Kochanek przybył za późno i napróżno przyciska głowę swoją do głowy ofiary, którą zabiła jego miłość. W tym kartonie tragizm pomysłu i przedziwna subtelność wykonania zlały się razem w arcydzieło sztuki.

Grzech pierworodny, dzieje Adama i Ewy, już oddawna zajmowały fantazyę Klingera. W osiemnastym roku swego życia rysował naiwnie „Primum speculum“ (Pierwsze zwierciadło) i wypędzenie z raju. W tych szkicach, barkzo lałwych, jeszcze nie czuć było przyszłego Klingera. W „Ewie i przyszłości“ natomiast jest już sobą. Ewa, to już nie bohaterka baśni teologicznej — to symbol kobiety. Oto budzi się ze snu — dziewicą jeszcze, lecz pełną jakichś dziwnych, nieznanych pragnień (I „Ewa“), Rosną one i olbrzymieją; na pierwszym skręcie kamienistej ścieżki życia czyha na nią pierwsza przyszłość: tygrys — bestya rozkiełznanych namiętności (II. „Erste Zukunft“). Upadek przyspiesza nie jabłko, lecz zwierciadło, które podaje szatan-wąż, a które odsłania przed nią całą ponętną zmysłowość jej kształtu (III, „Die Schlange“). Szatan-grzech we własnej swej, wspaniale przez artystę odtworzonej postaci, płynie przez morze namiętności do swej ofiary (IV, „Die zweite Zukunft“). A oto nagroda: precz z raju! Wpół omdlałą Ewę Adam wynosi z Edenu. Przed nimi kamienista pustynia życia; za nimi sylwetka anioła z mieczem (V, „Wypędzenie z raju“). I oto ostatnia przyszłość (VI): hej, wali śmierć okropna młotem kamieniarskim, wali z góry, ze skał, po głowach tej ciżby ludzkiej w dole, wali, nie pyta, czy młot spadnie na głowę starca, czy młodzieńca! Próżno jakaś ręka miłosierna pragnie ją wstrzymać.

Z cyklu o „Śmierci“ mamy tylko wyjątki części drugiej. Nie wiążą się one w jedną całość, bo sam tragizm śmierci, tragizm polegający na tem, że zjawia się ona w postaci okropnej, że przychodzi wtedy, gdy jej zupełnie nie oczekujemy, zawarł artysta w części pierwszej. To zaś, co widzimy w części drugiej, z samym tematem stoi w niewielkim związku. Tylko „Mutter und Kind“ stanowi wyjątek: tu śmierć jest początkiem życia; dziecię, pełne nieświadomości, siedzi na łonie matki, która umarła, aby ono żyć mogło. W reszcie kartonów nie o śmierci mówi artysta, lecz o życiu. Mówi, jak nieskończonem jest morze piękna w przyrodzie, ku któremu w hołdzie, na klęczkach zbliża się człowiek, aby się w niem wykąpać i obmyć („An die Schönheit“). Mówi, jak można zapomnieć o mrokach ziemi, gdy dusza rwie się do nieskończonego światła („Und doch“). Mówi, jak marną jest sława, którą depce spiżowa stopa czasu („Zeit und Ruhm“). Rysuje nędzę ludzi, wiecznych pracowników, wlokących ciężar, kapitel

pięknej kolumny, która może ozdobi pałac bogacza („Elend“). Uczy, jak należy odtrącać urok złudnych bogactw, pokusy świata dla wielkich celów i nieznanego posłannictwa („Die Versuchung“). Nieskończona głębia myśli, uczuć, treści!

Lubi Klinger bawić się czasem rylcem („Intermezzi“ i „Radierte Skizzen“), lubi opowiadać, jak to lotna fantazya drwi sobie z ciężkiej, niedźwiedziej rzeczywistości, która próżno stara się ją pochwycić („Elfe und Bär“). Lubi opowiadać baśnie o dawnych walkach ludzi z centaurami, o śmierci dążącej w ślad za amorem i wiodącej za sobą zagadkową przyszłość pogrobową... Gdzie, u jakiego artysty znajdziemy podobną rozmaitość formy i treści? A tej pierwszej warto się przyjrzeć. Ze wszystkiego, co dla akwaforty i drzeworytu zrobili starzy mistrze, jak Holbein i Dürer, Van Dyck i Rembrandt, skorzystał Klinger. Na oddzielnych kartonach znać ich wpływ, znać ich wpływ na treści, zwłaszcza na tem specyalnem interesowaniu się zagadką śmierci, która dręczyła i Holbeina. Technika staje się przez to też różnolitą, lecz zawsze jest zastosowaną do formy i kształtu, które pragnie wyrazić artysta. Podobno z nowszych mistrzów akwaforty najsilniej wpłynął na Klingera Hiszpan Goya. Wpływ ten odbił się zwłaszcza na „Dniach marcowych.“ Mamy tu całe kartony robione dużemi plamami, rysunek zaledwie gdzieniegdzie został podznaczony małemi, lekkiemi kreskami. Postać szatana („Die zweite Zukunft“) rzeźbi natomiast Klinger za pomocą całej siatki drobnych kresek, wydobywając zdumiewającą plastykę i nerwowość postaci. Spiżowe zaś postacie młodzieńca („Und doch“) i czasu („Zeit und Ruhm“) znaczy śmiałemi pociągnięciami rylca, długiemi liniami, wyraźnie zaznaczonym, ostrym konturem.

Wszechstronność Klingera odbija się nietylko na stworzonych przez niego postaciach, lecz i w krajobrazie. Jest on u niego zawsze bardzo prawdziwy, pełen życia i nastroju. Proszę tylko porównać jego las („Im Walde“), równinę z morzem w głębi („An die Schönheit“), kamienistą pustynię („Wypędzenie z raju“) i drogę („Mittage,“ III). Jaka tu ogromna rozmaitość nastroju, jakie tu zrozumienie przyrody, jakie uwielbienie dla jej piękna!

Wobec głębokiej treści, porywającej siły uczucia i orlej potęgi myśli, zawartych w utworach Klingera, trudno wprost odczuć, trudno odszukać wady i niedoskonałości kompozycyi i rysunku. Bo i cóż to znaczy, że poszczególne głowy i twarze w „Dniach marcowych“ są słabo i niedokładnie naznaczone, kiedy z kartonów bije ryk tłumu, ogromny głos wielkiej walki. Cóż to znaczy, że młodzieniec w „Und doch“ ma za krótkie kończyny, kiedy cały rysunek jest jednym hymnem do światła i ideału! Tu na krytyki akademickie niema już miejsca...

Michał Mutermilch.

POEZYE

CHWILA.

Znów na me oczy padło zapomnienie,
Jak sen... i staję, wstrzymany w pół drogi,
I znów powracam w tej świątyni progi,
Gdzie światło — Bogiem, modlitwą — marzenie

Oto na greckich kolumnach sklepienie,
Alabastrowy pałac. Złote rogi
Białym kapłankom sypią kwiat pod nogi...
Za oknem szumią sosny i strumienie.

Sen minął. Pan mój do życia mię woła.
Jarmarczny kramarz—dzień krzykliwy, szary...
Żegnajcie świątyń marmury i koła

Dryad taneczne, sosen świętych gwary,
Faunów pieśni, sny skrzydlate, boje
Bogów, zwycięstwa duchów! wy — nie moje!

Kazimierz Gronkiewicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

SYNDYKAT WĘGLOWY NADREŃSKO-WESTFALSKI.

I.

Sprawa syndykatów nie schodzi w ostatnim czasie z porządku dziennego w pismach naszych i zapewne nie pomylimy się, szukając przyczyny tego zainteresowania w pobudkach bardzo realnych: istnieje wyraźna dążność do połączenia w tej czy innej formie przedsiębiorców górniczych u nas, a stąd z jednej strony gorliwa obrona zasady nowej formy organizacyi przedsiębiorczej, z drugiej — obawy przed skutkami, które wyniknąć mogą dla spożywców węgla z takiego zjednoczenia przedsiębiorców, posiadających możność zmonopolizowania produkcyi węgla — najdrogocenniejszego materyału wogóle dla przemysłu i niezbędnego środka opałowego. Wobec tego wydaje nam się koniecznem zapoznanie dokładne naszej publiczności z historyą syndykatu węglowego w najdoskonalszej formie, jakim jest syndykat westfalsko-nadreńskich kopalni węgla kamiennego, oraz ze skutkami ekonomicznymi, które wynikły z utworzenia tego związku.

Historyę przebiegu usiłowań mających na celu połączenie posiadaczy kopalń węgla w zagłębiu westfalsko - nadreńskiem, opracował źródłowo „asesor górniczy“ F. Sarter w rozprawie umieszczonej w *Jahrbücher fur Nationalokonomie* za rok 1894. Autor tej rozprawy jest najzupełniej przychylnie usposobiony dla zasady syndykatu i bez ogródek staje na stanowisku wytwórców-przedsiębiorców, co wyraźnie zaznaczyć należy, gdyż „porównanie osobiste badacza“ w kwestyach ekonomicznych tem bardziej waży na szali, im trudniejszym jest sąd o danej kwestyi z braku dostatecznych materyałów. Sarter tłomaczy nam, skąd powstało dążenie do organizacyi tych przedsiębiorców? Odpowiedź jego brzmi: „Zyski kopalń westfalskich w czasie od roku 1873—90 nie odpowiadały zgoła wymaganiom wydajności kapitału“; dowodzi on, że kopalnie te, po potrąceniu amortyzacyi i rezerwy, nie dawały przeciętnie w tym okresie nawet 3% zysku, że [illegible] wszystkich kopalń pracowała ze stratą. Czy to twierdzenie zgadza się z rzeczywistością, sprawdzić nie możemy; autor nie poparł go dostatecznie dowodami. Lecz skądże powstał taki zły stan finansowy tych przedsiębiorstw? Autor odpowiada: „najważniejszą przyczyną jest *przeciążenie kopalń kapitałem.*“ To wyznanie przelotnie rzucone, zbija pierwotne twierdzenie, a przynajmniej nadaje mu zgoła odmienne znaczenie. Cóż bowiem znaczy to „przeciążenie kopalń kapitałem?“ Oto podobnie jak istnieje renta gruntowa w rolnictwie, istnieje renta kopalniana, którą skapitalizowano wówczas, kiedy obecni właściciele nabyli kopalnie, kapitalizacya zaś renty odbyła się na fałszywych podstawach, kapitał był niepomiernie wysoki w stosunku do renty. Jak i dlaczego się to stało, o tem dowiedzieć się można z faktów, które przytacza Sarter, jakkolwiek on sam nie zdaje sobie z nich sprawy. Kopalnie nadreńsko-westfalskie — poucza on nas we wstępie — w połowie bieżącego wieku były własnością przeważnie starych rodów, osiadłych w tem zagłębiu węglowem. Dopiero kiedy z rozwojem kolei żelaznych popyt na węgiel zaczął szybko wzrastać, napłynęły świeże kapitały i zaczęto energiczniej eksploatować kopalnie. Po wojnie francusko-niemieckiej przemysł w Niemczech rozwijał się z ogromną szybkością wskutek zjednoczenia państwa pod względem ekonomicznym, a zarazem nastał okres szalonej spekulacyi, tak zwane „grinderstwo.“ Spekulanci gorączkowo zakładali towarzystwa akcyjne (stąd nazwa „Gesellschaften gründen,“ a „Gründer“ po krachu, który wkrótce nastał, było synonimem oszusta); zakładając je za cudze pieniądze i bynajmniej nie zainteresowani w dalszych losach przedsiębiorstwa, gdyż nie mieli zgoła zamiaru utrzymywać w swoich rękach akcyj, szafowali bardzo hojnie kapitałem zakładowym. Działo się to w sposób następujący: X posiada kopalnię przynoszącą zysku 10,000 talarów, co skapitalizowane po [illegible] przedstawia kapitał 200,000 talarów, do tego X zgłasza się konsorcyum, które proponuje mu zamianę przedsiębiorstwa na towarzystwo akcyjne. Przychodzi ono do skutku; przedsiębiorstwo jest ocenione przytem nie na 200 tys., lecz na milion talarów, akcyj wypuszcza się na półtora miliona, akcye te przez dziki ażjotaż na giełdzie dochodzą do bajecznych kursów, na tym ażjotażu zyskują „założyciele,“ którzy spieszą pozbyć się papierów, akcyonaryusze zaś po niejakim czasie przekonywują się, że kopalnia nigdy nie da takich zysków, aby od kapitału zakładowego mogła być wypłacona „przyzwoita“ dywidenda. W taki sposób powstało „przeciążenie kapitałem“ i po latach dwudziestu kilku jeszcze spożywcom przedstawia się rachunek, z którego wynika, że „kopalnie nie przynoszą zysków, jakich wymagać mają prawo właściciele kapitału!“

Niezbitym dowodem tego, że kopalnie węgla, które nie uległy takim operacyom finansowym, mogły wytwarzać bez strat nawet przy najniższych cenach węgla — jest to dochód, który dawały i dają nieprzerwanie kopalnie, będące własnością rządu pruskiego, położone w sąsiedztwie z westfalskiemi, w Saarbrücken. Warunki techniczne tych kopalń są gorsze od warunków w zagłębiu westfalskiem, płaca robocza jest wyższą, koszty administracyi większe, różnica polega tylko na podstawie finansowej.

Źle ufundowane przedsiębiorstwa musiały tedy od samego początku chwytać się środków rozpaczliwych. Aby uniknąć bankructwa, trzeba było forsować przedsiębiorstwo, rozszerzać produkcyę *a tout prix*, gdyż w taki tylko sposób można było osiągnąć zniżenie kosztów produkcyi; ta forsowna produkcya w bardzo krótkim czasie musiała doprowadzić do nadprodukcyi, zwłaszcza kiedy po krachu w r. 1874 nastały długie lata zastoju, nadprodukcya doprowadziła do zaciekłego współzawodnictwa pomiędzy wytwórcami, do walki o rynek zbytu, do bezmyślnej zniżki cen. Oto dlaczego cały szereg kopalń faktycznie przez czas pewien pracował nietylko bez zysków, lecz ze stratami. Dla zapobieżenia zaś temu zrodziła się potrzeba syndykatu. W takiem oświetleniu dowcipne określenie syndykatów przez sprytnego profesora Kleinwachtera, jednego z najpłytszych sykofantów kapitału, jako *Kinder der Noth*, nabiera szczególnego znaczenia. Panowie dyrektorzy towarzystw akcyjnych miewali kłopoty niełada, aby zapobiedz haniebnemu bankructwu swoich towarzystw, lecz jeżeli chodzi o rodowód tego syndykatu, należałoby go wyprowadzić w sposób następujący: nieprawe dziecko nierządnej spekulacyi, poczęte w czasie wyuzdanych bachanalij szwindlu gieł-

dowego. Jeżeli zaś właściciele kopalń dąbrowskich, powołując się na syndykat westfalski, chcą dowieść potrzeby utworzenia syndykatu u nas, to należy ich przedewszystkiem zapytać: Jak stoi sprawa przeciążenia kopalń kapitałem?

Syndykat westwalski w obecnej swej formie powstał po licznych próbach, mających na celu bądź konwencyę co do cen sprzedaży, bądź ograniczenie produkcyi. Opis tych wszystkich usiłowań i wykazanie, dlaczego one musiały pozostać bezskutecznemi, zaprowadziłby zbyt daleko, ograniczymy się więc na charakterystyce istniejącego obecnie syndykatu, założonego w r. 1893.

Zasada syndykatu na tem polega, że kopalnie należące do organizacyi zobowiązują się sprzedawać wydobyty przez nie węgiel, koks oraz briquety wyłącznie towarzystwu akcyjnemu, utworzonemu pod firmą „nadreńsko-westfalskiego syndykatu węglowego." Towarzystwo powstało z kapitałem 900,000 marek, podzielonych na 3,000 akcyj po 300 marek; akcye są imienne i mają pozostawać jedynie w rękach właścicieli kopalń, którzy zawarli kontrakty z towarzystwem. Oczywista rzecz, że cała ta manipulacya jest fikcyą, gdyż towarzystwo, posiadające kapitału 900,000 m., nie może zakupić produkcyi węgla, przedstawiającej wartość dziesiątków milionów. Fikcya ta zyskała wszakże uświęcenie prawne, gdyż sądy uznały również towarzystwo za prawnie istniejące, jak i kontrakty z niem zawarte, za ważne. Do takiej opinii sądów bezwątpienia przyczyniło się stanowisko przychylne syndykatowi, jakie zajął rząd, inaczej łatwo byłoby obalić tę fikcyę dowodami prawniczymi. Układ więc pomiędzy tem towarzystwem a kopalniami jest następujący: Każde zamówienie na węgiel jest przesyłane do biura syndykatu, a biuro to naznacza ceny i warunki sprzedaży i wydaje tej lub innej kopalni dostawę. Każda kopalnia bierze udział w produkcyi ogólnej, stosownie do tej ilości węgla, jaką wydobyła w roku 1891 lub 1892, na każdą zaś nową założoną szachtę kopalnia ma prawo powiększyć udział o 400 ton dziennie. W razie, gdy zajdzie potrzeba ograniczenia produkcyi, zebranie właścicieli kopalń oznacza, w jakim stosunku należy ją ograniczyć — i to ograniczenie procentowe jest stosowane do wszystkich kopalń. Ta decyzya zapada co miesiąc w takiej np. formie, że produkcya zostaje zmniejszoną o 5%, to znaczy, że każda kopalnia ma prawo do sprzedaży tylko 95% tej ilości, jaką jej pierwotnie przyznano.

Ciekawy bardzo jest jeszcze paragraf 5 tej umowy. Opiewa on: O ile węgiel sprzedano do miejscowości leżących w obrębie zbytu naturalnego, kopalnia otrzymuje całkowitą należność, po potrąceniu drobnej kwoty na koszty utrzymania biura syndykatu; o ile wszakże węgiel jest sprzedany do miejsc, gdzie istnieje współzawodnictwo pomiędzy syndykatem a innemi przedsiębiorstwami, wskutek czego cena ulega zniżce, straty stąd powstałe są pokrywane w ten sposób, że ponoszą je wszyscy wytwórcy, należący do syndykatu.

Taka jest w ogólnych zarysach organizacya tego związku przedsiębiorców. Ażeby ocenić jego potęgę, zaznaczyć należy, że ogólna produkcya węgla w Prusiech 1893 r., kiedy zawiązano syndykat, wynosiła 67,660,000 ton, z tej sumy na zagłębie westfalskie przypadało 57,20%, produkcya zaś kopalń do syndykatu należących w tym roku wyniosła 49,57% produkcyi całego państwa. W roku zaś 1899 wydobyto w Prusiech 94,780,000 ton, a udział syndykatu w tej produkcyi uczynił 50,67%. Mając w swojem posiadaniu połowę węgla wydobytego, syndykat staje się przez to samo potęgą olbrzymią; potęga zaś jego w zachodnich częściach państwa, najbardziej przemysłowych, jest niemal nieograniczoną, gdyż współzawodnictwo prawie nie istnieje. Kopalnie bowiem szląskie dla wielkiej odległości współzawodniczyć nie mogą, brane są tylko w rachubę, gdy chodzi o rynki leżące w pół drogi, np. o Berlin; kopalnie saskie nie wystarczają potrzebom przemysłu miejscowego; w grę zatem wchodzą jedynie kopalnie państwowe w Saarbrücken, lecz te dają zaledwie 8,7% ogólnej ilości wydobytego w państwie pruskiem węgla, mogą więc wywierać wpływ bardzo słaby na ustosunkowanie cen. Faktycznie zatem syndykat węglowy westfalski wywiera wpływ przemożny na rynku węglowym całych Niemiec zachodnich, a nawet, jak zobaczymy, na rynkach pogranicznych.

Jakie były skutki ekonomiczne działalności tego olbrzymiego związku przedsiębiorców, postaramy się wykazać w dalszym ciągu.

Dr. J. B. Marchlewski.

O prawdę.

W nr. 20 *Prawdy* są dwa artykuły, dotyczące mych sprawozdań z podróży do Brazylii, drukujących się w *Tygodniku ilustr.* Pierwszy, zatytułowany „O prawdę," napisał „Skarbnik"; drugi, „Harmider," w rubryce „Pamiętnik." W artykule pierwszym „Skarbnik" krytykuje najpierw moje powieści; następnie zarzuca *Tygodnikowi ilustr.*, że niepotrzebnie wysłał mnie do Parany; wreszcie poddaje krytyce moje poglądy na wychodźctwo wogóle, a w szczególności do Parany.

Odpowiadając „Skarbnikowi," muszę zaznaczyć, że szanując i uznając krytykę indywidualną, ani chcę, ani mogę spierać się z nim o wartość moich powieści. Zarzut zrobiony *Tygodnikowi ilustr* w sprawie wysłania mnie do Brazylii jest bardzo spóźniony; wreszcie trzecia część artykułu jest za wczesna, bo dotychczas nie pisałem i nie drukowałem nic o wychodźctwie do Ameryki, a wzmianka w nr. 17 *Tygod. ilustr.* dotyczy tylko tej grupy emigrantów, z którą jechałem, nie zaś prądu emigracyjnego. Czy nie byłoby więc rzeczą słuszną wszczęć polemikę czy krytykę po ogłoszeniu moich zapatrywań lub wniosków? Czasy proroków i proroctw minęły, po co je wznawiać?

O wiele ściślej stawia sprawę autor artykułu „Harmider." Nie będę tu wchodził w zarzuty powtórzone za p. J. Siemiradzkim a wspomniane dorywczo; odpowiedziałem na nie i w *Czasie* i w *Słowie*, pozwolę sobie tylko zaznaczyć, że nigdzie i nigdy nie zarzucałem p. J. Siemiradzkiemu, iż wysługuje się spekulantom amerykańskim, ani wspominałem o jego czynnościach delegata. Jednak będę szczerze wdzięczny i jednemu i drugiemu z moich krytyków, gdyby wskazali, jak należałoby mi stanąć w obronie emigrujących „Wojtków i Maćków," których ci panowie biorą tak w porę w swoją obronę.

Artur Gruszecki.

Maryonetki — teatr dla dzieci.

Myśl p. Weryho, ażeby żywem, przystępnem słowem zająć młodociane umysły, była bardzo piękna i jesteśmy zdania, że umiejętnie prowadzony teatrzyk będzie miał stale zapełnioną widownię, gdyż dzieci nasze dotąd nie miały żadnej rozrywki intelektualnej pozadomowej i były zmuszone przyglądać się błazeństwom cyrkowym.

Że zaś to żywe słowo mieć może, mieć powinno i ma wpływ wielki na młodociane, tak łatwo wszystko przyjmujące umysły, przeto z wyborem rzeczy wypowiadanych z tej pseudo-scenki trzeba być nader ostrożnym.

Ku niemałemu przeto zdziwieniu, wiedząc jak wyborową wychowawczynią jest p. M. Weryho i znając jej prace pedagogiczne, usłyszeliśmy ostatniej niedzieli (20 maja) ilustrowaną bajkę o królewiczu zaklętym w niedźwiedzia, który ratuje biedną sierotę od przekleństw i katuszy, zadawanych jej przez macochę i jej córkę. Pomijając samą bajkę, która swą ponurą tragicznością nie może zająć małego widza, znajduję wybór ten nader niefortunnym, gdyż dziecko słyszy tu takie zdania, jak „pranie (!!) męża" itd. I po co tym drobiazgom 5-10-letnim już pokazywać, że mogą być kobiety tak złe, które biją męża, że są córki, które poniewierają ojca? Ja przypuszczam, że na taką naukę poglądową jeszcze za wcześnie. Wprawdzie sens moralny tej bajki ma rozpogodzić horyzont, gdyż niedźwiedź rozszarpał córkę macochy, która pozazdrościła skarbów, zdobytych przez sierotę i również w las poszła, ale po co nam te bajki z sensem moralnym, że dobroć zwycięża, kiedy jest to wierutnym fałszem życiowym. Dajcie tym dzieciom zabawę, dajcie im naukę w bajce, a ku temu mamy istną kopalnię szczerozłotą w bajkach Jachowicza, Krasickiego itd. Pokażcie dzieciom na scenie małpę, która się nieumiejętnie goli lub kąpie, każcie osłu naśladować trele słowika, niech bocian raczy wilka soczewicą z dzbana — to wszystko przy odpowiednim akompaniamencie wiersza lub nawet muzyki, a zobaczycie, jak nasze dzieci bawić się będą. Tylko bez sensów moralnych, gdyż jeśli bajka będzie dobrze ilustrowaną, to dzieci same zrozumią, o co tu idzie. Nie trzeba prawdy ukrywać, to jednak nie znaczy, by podłość jednostek obnażać. Wprawdzie p. Weryho może się tłomaczyć, że każdy początek jest trudny i tem bardziej w dziale zabawy dla dzieci — wierzę w to! więc trzeba było się wstrzymać jeszcze trochę i dać dzieciom odrazu materyał dobrze przetrawiony. O jedno jeszcze bym prosił p. Weryho, o ile to możliwe do naprawy: Ruchy, głównie taneczne, lalek są tak nienaturalne, że małym widzom wprost zdawać się może, że lalki podlegają jakimś atakom nerwowym, wykrzywiającym im członki.

Słowami naszemi kieruje jedynie chęć wskazania braków, już dających się odczuwać. Nie mają one bynajmniej na celu zniechęcać p. Weryho w przedsięwzięciu, które znajdujemy nader trafnem i pożądanem.

Ig. Lip., widz ojciec.

KRONIKA.

Szkoły. Ministeryum skarbu, jak donosi *Torg.-Promyszl. Gaz.*, zatwierdziło w tych dniach ustawę szkoły handlowej Towarzystwa wzajemnej pomocy subjektów handlowych m. Łodzi. Będzie to zakład trzyklasowy, w razie zaś potrzeby, za zezwoleniem ministeryum, może być otwarta klasa dodatkowa. Będą przyjmowane dzieci członków Towarzystwa, ich bracia, a w razie wolnych miejsc, osoby postronne.

Ruch kobiecy. Ciekawą kontrowersyę prawną [illegible] skie. Oto dziennik *La Fronde*, który jest, jak czytamy codziennie w jego nagłówku, „redagowany, administrowany, *składany* wyłącznie przez kobiety," wychodzi codziennie rano; drukarnia czynna jest w nocy; a że prawodawstwo fabryczne (od r. 1882) zakazuje nocnej pracy kobiet, tedy wydawczyni znalazła się na ławie oskarżonych. Pani Durand powoływała się w obronie swej na to, że kobiety pracują tylko od godz. 4 po południu do 1—2 w nocy i otrzymują za to wysoką płacę 8 fr. dziennie. Ścisłe wykonanie prawa, mającego na celu obronę kobiety, pozbawi ją raczej pomocy, będzie dla niej szkodliwem. W pierwszej instancyi uwolniono Durand od odpowiedzialności karnej, lecz w drugiej skazano ją na zapłacenie 15 fr. kary od każdej zecerki. Oczywiście pozostaje jeszcze instancya kasacyjna. Cały ten proces (z którego *pod względem moralnym* odłam feminizmu francuskiego, reprezentowany przez *Fronde*, nie wyjdzie obronną ręką), jest jednym jeszcze dowodem zupełnej nierównowagi społecznej feminizmu francuskiego. O ile nam wiadomo, cały feminizm francuski stanął po stronie pani Durand. Wszak zdaje się lepiej byłoby i rozumniej wydawać *Fronde* po południu, a wtedy oskarżyciel publiczny nie miałby potrzeby doma-

skować histeryczek, które na zewnątrz głoszą „prawa kobiece,“ skarżą się na wyzysk społeczeństwa, państwa i mężczyzn. a w swoim własnym świecie wewnętrznym dopuszczają się takiegoż wyzysku. Prawodawstwo fabryczne nie z nieba spadło; kosztowało niezmiernie wiele wysiłków, walki itd. Każdy paragraf tego prawodawstwa jest wielkiem zwycięztwem postępu i sprawiedliwości, wreszcie powagi tych klas, w interesie których wywalczonym zostaje. A tutaj stado srocze podnosi gwałt, kiedy to właśnie z tryumfem przez nie do niedawna obnoszone prawo godzi w nietykalność własnego egoizmu. *Osancta simplicitas*

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowego w Mszczonowie, w pow. Błońskim, oraz ustawę takiegoż Towarzystwa w Bełchatowie, w pow. Piotrkowskim.

— W Ozorkowie powstało Towarzystwo pożyczkowo-wkładowe. Członkami mogą być osoby płci obojej i wyznania chrześciańskiego, mający prawo rozporządzać własnym majątkiem, zamieszkali w m. Ozorkowie. Fundusze swe Towarzystwo czerpie z udziałów 50-rublowych od każdego członka i z wkładów. Udziały mogą być wniesione jednorazowo lub też miesięcznemi ratami. Towarzystwo udziela pożyczek za poręczeniem do 300 rb. po 7%. Sprawami Towarzystwa zarządza rada, złożona z 6 członków, oraz zarząd, złożony z 3 członków i 2 zastępców.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj zobowiązało wszystkie kolejki wązkotorowe do bezpłatnego przewozu poczty i urzędników pocztowych, jeżdżących w sprawie służby.

Osobiste. Zjazd koleżeński byłych uczniów gimnazyum radomskiego, którzy ukończyli je w latach 1890 i 1891, odbyć się ma w Radomiu dnia 30 czerwca r. b. Bliższych informacyj o zjeździe zasięgnąć można w Warszawie u dr. Witolda Ettingera (Wspólna 47a) i u p. Władysława Bukowińskiego (Wspólna 25).

Zmarli Michał Wołowski, powieściopisarz, dramatopisarz i dyrektor teatru prowincyonalnego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. S-ott. w Mirgorodzie. O zaginiony numer radzimy reklamować na poczcie; w swoim czasie był wysłany. Drugiego egzemplarza nie możemy wysłać, gdyż jest wyczerpany.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Мая 1900 г. — Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.